MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 33. WARSZAWA, 12 LIPCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

POMNIK POZNAŃSKI

MIJAJĄ fakty i ludzie, ale też mijają pomniki; te tylko ostoją się, które mają trwałe znaczenie, które współżyją z narodem, które wyrażają prawdę dziejową: te żyją, póki życia narodu, a nawet dłużej, bo je ceni ludzkość. Z nieprawdziwych zostają conajwyżej kamiennne piedestały, aby służyć za podstawę posągom współżyjącym z narodem. W Inowrocławiu na piedestale, który dźwigał doniedawna pomnik Wilhelma II, zasiadł poeta Jan Kasprowicz, na cokole zaś pomnika Franciszka Józefa w Cieszynie stoi obecnie posąg Mieszka I. Nic z tego, że gdzieś strącono popiersie Fr. Karpińskiego; on żyje w duszy narodu i łatwo może być reprodukowany.

Nie wadzi poczuciu narodowemu postać obca, jak ta, której pamięć utrwalił pomnikiem w Poznaniu Paderewski, bo ona związana jest z doniosłym faktem w życiu Polski. Ameryka upamiętniła w ten sposób postać Kościuszki w West Point. Pomnik Wilsona w Poznaniu: 1) to stempel Stanów Zjednoczonych A. P. i jej sojuszników czasu wojny na fakcie oderwania ziemi polskiej od Prus, 2) to pamięć ścisłego współżycia Polski przez ocean ze swoją czwartą dzielnicą — polskiem wychodźtwem w Ameryce i wpływów tego wychodźtwa na rządy Stanów, 3) to pamiątka wiernej narodowi służby patrjcty Paderewskiego, 4) to znak triumfu polskiej myśli politycznej, którą z dziejów narodu wywiódł Dmowski i w drodze dyplomatycznej przeprowadził — wbrew wszystkiemu... To pomnik Komitetu Narodowego i drogowskaz polityki polskiej na przyszłość.

Pomniki żyją nie swym kamieniem i bronzem, lecz swem znaczeniem. Cóż z tego, że ani Dmowski, ani Paderewski na odsłonięciu pomnika nie mogli być obecni; Naród będzie ich widział zawsze koło niego, bo ten kamień i bronz są znakiem przez nich zdobytego szańca czołowego Polski, u którego skupiać się będzie myśl polska. Polak widzieć będzie tutaj zawsze tych, którzy Wilsona na ten szaniec konkretny z dróg założeń ogólnie humanitarnych sprowadzili, będzie widział zabiegi Komitetu Narodowego, którego przedstawicielem na Amerykę był Paderewski, a przedewszystkiem Dmowskiego, który plan kampanji politycznej polskiej ułożył i przeprowadził. Plan odbudowy Polski, złożony w lipcu 1917 rządom państw sprzymierzonych („Zagadnienia środkowo i wschodnio europejskie") i konkretnie na mapie wypunktowany w memorjale dla Wilsona z dn. 8 października 1918, wyrażony jest na pomniku alegorycznie w tej mapie, na którą Wilson wskazuje.

„Zagadnienie polskie—wykładał Wilsonowi Dmowski w tym memorjale—jest przedewszystkiem zagadnieniem terytorjalnem. Położone między Niemcami, największym narodem kontynentalnym, dążącym zawsze do zdobycia i pochłonięcia Polski, a Rosją, w której siły rozkładowe biorą, jak się zdaje, górę i która prawdopodobnie nie będzie w stanie użyczyć Polsce skutecznej pomocy przeciw napaści niemieckiej, musi Polska być sama w sobie państwem silnem, zupełnie niezawisłem, zdolnem troszczyć się sama o siebie i rozwijać się według własnej swojej linji. Musi się ona stać wielką, twórczą demokracją w Europie wschodniej, szańcem przeciw naporowi niemieckiemu na wschód, a równocześnie musi bronić się przeciw wpływom rozkładowym".

Jak trudne to były warunki i jak wielka musiała być suggestja polityka polskiego, zrozumie

to tylko historyk, który wie, że kwestja polska miała do pokonania moment psychologiczny. Oduczono się jej w świecie, nie rozumiano jej, była to rzecz nowa; w Ameryce do samego niemal kongresu nie pomyślano o możliwości upominania się o granice zaboru pruskiego. Nie mogą się temu dziwić Polacy, którzy mieli przecież między sobą znaczny odłam nie wierzących w tę możliwość i dziś jeszcze oszołomionych tem, co się stało i dla czego znaleźli się pod pomnikiem Wilsona w Poznaniu.

Na pomnik ten pracowała myśl polska z wysiłkiem, aby przezwyciężyć hipnozę, w jaką świat wprawiły rozbiory. Dmowski, znalazłszy się w Petersburgu, w październiku 1915 pisał:

„Dla naszej przyszłości narodowej pierwszorzędnem zagadnieniem jest: jak się będą przedstawiały Niemcy po tej wojnie. Czy potęga ich i zdolność zaborcza wzrośnie, czy się zmniejszy? Jakie będzie ich położenie względem innych narodów? O ile będzie wiązało ich swobodę działania w stosunku do nas?... Zagadnienie to tem bardziej doniosłem będzie, jeżeli losy wojny zrządzą, że Niemcy stracą swe polskie posiadłości, z któremi przecież tak łatwo się nie pożegnają i do których odzyskania dążyć będą. Z tem zaś w ścisłym związku jest pytanie: co może obronić Polskę od niebezpieczeństwa ze strony tego narodu, który przecie wielką potęgą być nie przestanie? („Sprawa Polska" nr. 2 d. 16. X 1915).

Mamy tutaj do czynienia z potężnem zjawiskiem myśli, wyprowadzającej drogę przed narodem. Był to początek wojny, nie widziano jeszcze Ameryki na froncie wojennym, Niemcy u szczytu zwycięstw hipnotyzowały świat potęgą; Dmowski zaś myślał o przyszłości, o możliwościach, które będą aktualne (i to nie dla wszystkich) w r. 1931!

„Jeżeli — pisał w dwa tygodnie później — wojna ta da wielkie zwycięstwo nad Niemcami, nie przestaną te Niemcy być niebezpieczeństwem dla międzynarodowej równowagi... Wątpić nawet trzeba, czy będzie możliwe osobne istnienie państwowe Niemców austrjackich, czy — jako wynik konieczny — nie nastąpi zlanie się ich z resztą Niemców w jednem państwie. Powstaje pytanie, czy narody Europy, pragnące uratować to, co posiadają i nie utracić swej niezależności, mogą się pogodzić z myślą, że te Niemcy będą nadal rosły.

Tu kwestja polska staje się jednem z wielkich zagadnień obecnej doby, zagadnień mających znaczenie dla całej Europy, dla całego właściwie świata. Dla tego wojna nie może pozostawić kwestji polskiej na miejscu, ale musi ją zdecydować... Dla tego Niemcy muszą być zwyciężone, choćby to najwięcej kosztować miało i wojujące państwa, i nas. Jeżeli to zwycięstwo będzie połowiczne, dzisiejsze pokolenie niewielką będzie miało zasługę przed pokoleniami przyszłemi...

„Jeżeli — głosił dalej Dmowski — granica wschodnia Niemiec pozostanie ta sama lub mało zmieniona, to dążenie Niemiec do wyprostowania jej i do umocnienia niemczyzny na rdzennej ziemi polskiej na przestrzeni między Śląskiem a Prusami Wschodniemi nie straci nic ze swej siły, Polska zaś nie będzie miała dostatecznych środków, by mu się należycie przeciwstawić. Chcąc tamę tej agresywności w stanowczy sposób położyć, możemy to osiągnąć tylko w jeden sposób, mianowicie — dając Polakom warunki do rozstrzygnięcia swego procesu z Niemcami na swoją korzyść, mianowicie odrywając od Prus na wschodzie wszystko, co nie jest niemieckie, jednocząc ziemie polskie tak, by Wisła od swych „ź r ó d e ł d o u j ś c i a b y ł a c a ł a r z e k ą p o l s k ą...".

Oto była myśl polityczna polska, Polakom do wiadomości podawana, mocarstwom sprzymierzonym wyjaśniana i narzucana jako sens całej wojny, żywiołowo rozpętanej. Tej idei wystawiono pomnik w Poznaniu, akt zaś jego odsłonięcia nie mógł być niczem innem, jak manifestacyjnem wezbraniem uczuć Polaków dla tych, co tę ideę wykonali. Pomnik poznański w swojem znaczeniu wewnętrznem jest apoteozą nie tylko § 13 orędzia Wilsonowskiego, lecz wyniesieniem na piedestał — idei misyjnej Polski, przez nią wypełnianej z aprobatą i poparciem świata cywilizowanego. Pomnik ten przypominać będzie rodakom:

„Wysilano się nieraz na to, żeby polityka polska miała jaknajmniej podobieństwa do polityki Komitetu Narodowego w Paryżu, żeby szła innemi drogami, nawiązywała inne sojusze, inaczej nawet samą Polskę pojmowała. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że nie są to rzeczy dowolne, które każdy może pojmować po swojemu, że naród nie ma dziesięciu polityk do wyboru. Rzeczywistość jest jedna tylko, jedna też może być w głównych linjach polityka narodu, która z rzeczywistością się liczy. Rzeczywistość ma silną wymowę i szybko uczy ludzi rozumu, ale ta nauka zazwyczaj drogo kosztuje. („Polityka polska i odbudowanie państwa", 500)

Po sześciu latach od czasu, kiedy to było pisane, pomimo prób odwrócenia tego biegu rzeczy, społeczeństwo postąpiło niemało w rozumieniu idei przewodniej Dmowskiego. Dziś widać już na oko, że akcja proniemiecka w Polsce jest ukradkowa, tylko jako dzieło rąk, płatnych z funduszów propagandy niemieckiej. Nie udały się próby dywersyjne sparaliżowania uroczystości poznańskich plotkami prowokacyjnemi o dążnościach separatystycznych Poznania, Śląska i Pomorza. Tam jest największe i najpowszechniejsze rozumienie interesu całości polskiej; była teraz możność oficjalnego stwierdzenia tej prawdy.

Dalsze pomniki w Polsce będą już z coraz większą świadomością wytykały linję myśli historycznej. Aż wreszcie dojdzie cały naród do jasnego uświadomienia, że sprawcą triumfów w jego dziejach jest własne jego serce i genjusz tych, którzy dają mu wyraz w myśli twórczej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ISTOTA ŚWIATOWEGO KRYZYSU ROLNEGO

W ARTYKULE poprzednim (ob. nr. 32) usiłowaliśmy wniknąć w istotę kryzysu rolnego, obecnie wypadnie nam zastanowić się nad jego przyczynami. Chodzić będzie konkretnie o odpowiedź na pytanie, jakie jest źródło tak znacznego spadku cen produktów rolnych.

Chcąc wyjaśnić tę kwestję, będziemy musieli sięgnąć w naszych rozważaniach i do tych czynników życia gospodarczego, które nazywamy zmiennemi niezależnemi. Życie gospodarcze bowiem i jego fluktuacje ująć można teoretycznie w równanie, w którem wielkość zmiennych zależnych, takich jak cena towaru, stopa procentowa i t. p. określa wielkość zmiennych niezależnych, takich, jak ilość ludności, potrzeby, technika, ustrój gospodarczy i tp.

Ogólnie rzecz da się sformułować w sposób następujący: źródłem niskiego poziomu cen jest brak równowagi między produkcją a konsumpcją. Brak ten wynika z jednej strony ze zmniejszenia się stosunkowego konsumcji zbóż, z drugiej strony ze zwiększenia absolutnego i stosunkowego produkcji. Innemi słowy o upadku cen zadecydowała niedostateczna konsumcja przy nadmiernej produkcji. Do tego dochodzą i dalsze przyczyny. Rozpatrzymy je po kolei w krótkich słowach.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn obecnego kryzysu jest niewątpliwie znaczny spadek konsumcji zboża, rzecz prosta nie absolutny, a to ze względu na ciągle wzrastającą ludność, ale stosunkowy czyli obliczony na głowę ludności. Na wstępie przytem warto zauważyć, że popyt na artykuły rolne, zwłaszcza zaś na zboże, jest z pewnemi wyjątkami (np. wino) naogół mało „elastyczny" względnie „sztywny" t. j. słabo reagujący na zmiany cen. Tem się też tłumaczy fakt, że zniżka cen nie wywołała wzrostu spożycia. Jest rzeczą jasną, że podobna właściwość utrwala kryzys, zamyka bowiem jedną z dróg „automatycznego" powrotu do równowagi naruszonej przez nadmiernę produkcję.

Obniżenie stosunkowe (na głowę ludności) konsumcji zasadniczego dla aprowizacji gatunku zboża — pszenicy wykazuje następująca tabelka.

	1909 – 13	1925-28/wzgl. 1925-30*)
Wielka Brytanja	163 kg.	154 kg.
Francja	223 kg.	199 kg.
Niemcy	86 kg.	81 kg.
Belgja	234 kg.	185 kg.
Stany Zjednoczone	147 kg.	124 kg.*
Kanada	314 kg.	213 kg.*
Argentyna	170 kg.	149 kg.*

Równolegle do spadku spożycia pszenicy zauważyć można pewien spadek spożycia w zakresie innych zbóż, a także i pasz. W latach 1919 – 1929 Stany Zjednoczone zmniejszyły swą ogólnę konsumcję zbóż przeciętnie o 27 miljonów kw. W zakresie pasz analogiczna cyfra wynosi 87 miljonów kw., co tłumaczy się głównie zmniejszeniem się liczby koni zastąpionych przez traktory (w latach od 1919 do 1929 liczba koni w Stanach Zjednoczonych zmiejszyła się z 26.000.000 do 19.600.000).

Oczywiście powyżej wykazany spadek spożycia łączy się ściśle ze wzrostem tego spożycia w innych dziedzinach. „Zastępowalność" produktów występuje tu z całą wyrazistością. Naogół biorąc, zmiejszenie konsumcji zbóż dokonało się na korzyść konsumcji warzyw, mleka, nabiału, cukru, tłuszczów, częściowo mięsa, przy widocznej tendencji do coraz większego zróżniczkowania spożycia. Wielkość tego „przesunięcia" w konsumcji jest dość rozmaita: najwyraźniej owa przemiana dokonała się w Stanach Zjednoczonych. Jeśli chodzi o przyczyny — są one także rozmaite. Pewnę rolę odegrał np. postęp techniczny w zakresie konserwowania niektórych produktów spożywczych. Nie bez wpływu były nawet takie czynniki jak zmiana przyzwyczajeń z zakresu „menu" miljonów żołnierzy walczących parę lat na froncie (we Francji).

Zjawisko „przesuwania się" konsumcji z jednego" produktu na drugi spotykamy także w szeregu innych dziedzin, zarówno dotyczących konsumcji bezpośredniej, jak i konsumcji produkcyjnej. I tak spożycie bawełny zmiejsza się na korzyść spożycia sztucznego jedwabiu, spożycia jęczmienia przez browary na korzyść kukurydzy i żyta, spożycie wina, na korzyść kawy, herbaty, wód mineralnych i t. d. Nie potrzebujemy chyba podkreślać wagi tych przemian.

Te krótkie dysertacje na temat konsumcji byłyby jednak niekompletne, gdybyśmy nie wskazali na zjawisko przymusowego obniżenia spożycia wynikającego z nędzy. Mamy na myśli miljony bezrobotnych w Europie. Zjawisko powyższe występuje jeszcze wyraźniej w niektórych krajach Azji, przedewszystkiem w Chinach, gdzie rok rocznie setki tysięcy ludzi pada z wycieńczenia głodowego. W związku z tem uznać można, iż istnieją potencjalne możliwości wzrostu konsumcji, „potencjalne" dlatego, że na ceny wpływa zasadniczo tylko taki popyt, za którym stoi efektowna zdolność nabywcza.

W zakończeniu chcieliśmy przypomnieć, że mówiąc o zmniejszeniu konsumcji zbóż i niektórych innych produktów rolnych — chodziło nam o spadek stosunkowy. Biorąc cyfry absolutne musielibyśmy stwierdzić pewien, nieznaczny zresztą, wzrost spożycia.

Jeśli teraz przystąpimy z kolei do zagadnienia produkcji, uderzy nas odrazu jej niewątpliwy wzrost, wzrost wyrażający się zarówno w cyfrach absolutnych jak i stosunkowych (na głowę ludności). Wykażemy to szeregiem danych statystycznych, zaznaczając już teraz, że chodzi tu bądź o nadprodukcję roczną, bądź też o nadprodukcję wynikającą z nadwyżek z kilku lat (zapasy, stocksy).

W zakresie zbóż najważniejszą rolę odgrywa, rzecz prosta, nadprodukcja pszenicy. W ciągu 5 lat od 1920 do 1925 r. produkcja jej była nieco niższa od produkcji przedwojennej; w ciągu dalszych 5 lat wzrosła ona o 18%, podczas gdy ludność świata wzrosła w latach 1915 — 1929 roku przypuszczalnie o 14,5%, a Europy, co nas szczególnie interesuje, o 7,7%.

Wzrost produkcji pszenicy w świecie wykazuje jasno następujące zestawienie.

		1909 — 13	1928	1929	1930
Europa	(371 milj. kw.)	100	103,2	104,9	100
Kanada	(54 milj. kw.)	100	285,2	153,7	200
Stany Zjedn.	(188 milj. kw.)	100	137,4	117,0	123,4
Argentyna	(40 milj. kw.)	100	237,5	110,0	162,5
Australja	(25 milj. kw.)	100	136,0	224,0	—

Z tabelki powyższej wynika wyraźnie fakt nie zwiększenia się produkcji pszenicy w Europie, pomimo wzrostu ludności, oraz fakt bardzo silnego wzrostu produkcji tej w krajach zamorskich, częściowo tylko wytłumaczony wzrostem ludności w tych krajach. W rezultacie niema mowy o jakiejkolwiek nadprodukcji w samej Europie.

Jeśli chodzi o inne rodzaje zboża — światowa ich produkcja wzrosła stosunkowo nieznacznie. Spadek cen tych produktów tłumaczy się w dużym stopniu ruchem „sympatycznym“ tych cen z cenami pszenicy.

Porównując lata 1913 i 1929 i określając produkcję z 1913 r. cyfrą 100, otrzymujemy następujące zestawienie:

	1913	1929
żyto	100	102
jęczmień	100	113
owies	100	109
kukurydza	100	106

Cyfry te świadczą jasno, że punktem wyjścia dla kryzysu zbożowego jest kryzys pszenicy, którą produkuje się w ilościach nadmiernych.

O nasileniu nadprodukcji pszenicy świadczą choćby cyfry zapasów nagromadzonych przez 4-ch największych eksporterów, a więc Kanadę, Stany Zjednoczone, Argentynę i Australję.

Wynoszą one:

1926 — 34,2 miljonów kw.
1927 — 51,4 „ „
1928 — 69,2 „ „
1929 — 122,5 „ „
1930 — 114,3 „ „

Przechodząc do innych produktów, pewien wzrost produkcji wykazuje wełna (w 1913 — 100, w 1929 — 117), bawełna — (w 1913 — 100, w 1929 — 116). Natomiast produkcja lnu nieco się zmniejszyła.

Z kolei ogromny wzrost produkcji wykazuje cukier, tak buraczany, jak przedewszystkiem trzcinowy. Jeśli wielkość produkcji w okresie 1909—1913 określimy dla obu rodzajów cukru liczbą 100, w 1929 określa się ona liczbą 120, jeśli chodzi o cukier buraczany, 185, jeśli chodzi o cukier trzcinowy.

Także w dziedzinie produkcji hodowlanej daje się zauważyć silny wzrost. Według statystyk 48 państw — określić można przypuszczalny wzrost w latach 1913 — 29 bydła rogatego na 18%, trzody baraniej na 14%, trzody chlewnej na 2%. Pomimo tego zwiększenia produkcji ceny jednakże nie tylko nie spadły w porównaniu z przedwojennemi, ale znacznie poszły w górę. Tłumaczy się to przyczynami leżącemi po stronie konsumcji.

Zjawisko nadprodukcji ujmowaliśmy w przytoczonych cyfrach w skali światowej, rozróżniając między produkcją poszczególnych kontynentów względnie państw jedynie w zakresie pszenicy. Temniemniej przykład pszenicy wystarczy dla stwierdzenia, że o nadprodukcji zadecydował wyłącznie wzrost wytwórczości zboża w krajach zamorskich. O rozwoju produkcji wogóle w tych krajach świadczą dodatkowo niejako następujące cyfry: Nowa Zelandja, Australja i Argentyna wyprodukowały w 1900 r. masła 50 miljonów funtów ang., a w roku 1929 — 350 miljonów. Dla mięsa mamy tutaj analogiczne cyfry 300 miljonów funtów ang. i 2.000 miljonów.

Wykazawszy niewątpliwy we wszystkich dziedzinach wzrost produkcji rolnej musimy z kolei zapytać o jego przyczynę. Jest ona dwojaka. Z jednej strony o nadprodukcji zadecydował postęp techniczny, z drugiej strony dezorganizacja rynku wynikła na skutek wielkiej wojny.

Postęp techniczny, wyrażający się przedewszystkiem w rozwoju kultury maszynowej, motoryzmu, a także w udoskonaleniach w dziedzinie nasiennictwa i innych, spowodował wzrost wydajności z hektara, a ponadto umożliwił zajmowanie pod uprawę coraz to nowych obszarów, który to proces szczególnie silnie uwidocznił się w krajach amerykańskich i w Australji.

O rozwoju techniki maszynowej w produkcji rolnej dają wyobrażenie następujące dane; w Stanach Zjednoczonych liczba traktorów potroiła się licząc od 1920 r. (246.000) do r. 1929 (853.000). W tych samych Stanach Zjednoczonych wartość narzędzi pracownika rolnego wynosiła w 1870 r.— 36 dol., w 1925 — 200 dol. Postęp techniczny odnośnie do wydajności z hektara ilustruje zestawienie dla wina. W 1909 — 13 przeciętnie produkowano z 1 hektara 19,7 hektolitrów, w 1929 — 25.

Wpływ rozwoju techniki, obniżający koszty produkcji, na wielkość tej produkcji uznać należy za niewątpliwy. Tem samem stwierdzić należy jego „współodpowiedzialność” za katastrofalny spadek cen, będący m. in. konsekwencją nadprodukcji. Co jest jednak rzeczą charakterystyczną, to niecelowość i bezskuteczność przeciwstawiania się temu rozwojowi. Można dowolnie „złorzeczyć” traktorom: nie zmieni to faktu, że powracanie do pierwotniejszych metod technicznych byłoby nonsensem i nie dałoby się realnie pomyślić. Uznać też trzeba stan techniki za typową zmienną niezależną życia gospodarczego.

Drugą zasadniczą przyczyną nadprodukcji jest, jak już wspomnieliśmy, dezorganizacja wynikła na skutek wielkiej wojny lub raczej przemiany geograficzne w nasileniu produkcji rolnej. Rzecz polega przedewszystkiem na nadmiernym wzroście produkcji w krajach zamorskich, będących głównemi aprowizatorami państw walczących, a także na usunięciu się czasowem Rosji z szeregu wielkich eksporterów zboża, co było dla niektórych państw dodatkowem hasłem do zwiększenia wytwórczości.

Skutek owego „wojennego” nastawienia się krajów zamorskich na produkcję rolną i odpadnięcia Rosji jako eksportera był taki, że podczas gdy przed wojną Europa sprowadzała z krajów zamorskich około 50% całkowitego swego przywozu produktów rolnych (zbożowych i hodowlanych), importując resztę z wywozowych krajów europejskich, to obecnie udział krajów zamorskich wzrósł do 85%, a udział rolniczych krajów Europy spadł tem samem do 15.

O charakterystycznem „nastawieniu się na eksport” krajów zamorskich w ich wytwórczości rolnej świadczą dobitnie cyfry który przytoczymy poniżej. Europa, produkująca ok. 40% wszystkich produktów roślinnych wykazuje się cyfrą 94% światowego importu pszenicy i 100% światowego importu kukurydzy. Ameryka Północna i Środkowa, produkujące ok. 26,7% wszystkich produktów roślinnych wykazuje z kolei cyfrę 64% światowego importu pszenicy, przy małym zresztą odsetku dla kukurydzy. Ameryka Południowa stanowi znowu całkowity kontrast Europy: podczas gdy udział jej

w światowej produkcji roślinnej wynosi tylko 4,2%, udział jej w światowym eksporcie pszenicy wynosi 24%, kukurydzy — 88%. Oceanja znajduje się w sytuacji analogicznej: 1,4% udziału w światowej produkcji roślinnej, 11% udziału w światowym eksporcie pszenicy.

Co się tyczy z kolei Rosji Sowieckiej — usunięcie się jej oddziałało silnie, jak już wspomnieliśmy, na utrwalenie się hegemonji eksportu zamorskiego w Europie, a także na wzrost, nieznaczny zresztą, produkcji rolnej w samej Europie. W chwili obecnej wszakże liczyć się należy z „powrotem" Rosji. W zakresie produkcji pszenicy przekroczyła już ona (według statystyk sowieckich) poziom przedwojenny, a wywóz jej również gwałtownie zbliża się do cyfr przedwojennych (w 1925/29 r.— 4 milj. kw.; w 1930/31 — 25 milj. kw. przy przeciętnej ilości 45 milj. kw. wywozu przedwojennego). Od tej więc strony grozi również rynkowi światowemu potężne uderzenie.

Oprócz powyżej omówionych dwóch zasadniczych przyczyn spadku cen artykułów rolnych, jakiemi są zmniejszenie względnie „przesunięcie" konsumcji oraz nadprodukcja wynikła z rozwoju techniki i dezorganizacji powojennej — możnaby wymienić i przyczynę dalszą. Mamy na myśli fluktuacje monetarne i zmiany wartości złota. Konkretnie biorąc, rzecz polega na tem, że w szeregu krajów rolnictwo ponosić musi ciężar długów zaciągniętych przy znacznie wyższym poziomie cen niż poziom obecny. Ten stan rzeczy zaostrza niewątpliwie kryzys rolny, stawiając mnóstwo przedsiębiorstw rolnych, o znacznej części pożyczonego kapitału, w sytuację bez wyjścia.

Do przyczyn kryzysu rolnego zaliczają niektórzy ekonomiści także niesłychany wzrost protekcjonizmu celnego i administracyjnego, a także rozwój systemu premij wywozowych. Oczywiście tego rodzaju nastawienia polityki handlowej państw importujących przyczyniło się bardzo do dalszego spadku cen. Temniemniej jest to raczej skutek spadku cen, niż jego przyczyna, nie wyraża bowiem nic innego jak chęć utrzymania wyższego poziomu cen wewnętrznych od poziomu światowej ceny eksportowej, a to celem ratowania własnego rolnictwa.

Po zanalizowaniu istoty i przyczyn światowego kryzysu rolnego wypada się zapytać, jakie są tutaj drogi wyjścia, jakie środki zaradcze. Automatyzm gospodarczy czy świadoma celów polityka? Skoro zaś odpowiemy na to pierwsze pytanie opowiadając się za celowością świadomej polityki, powstają zagadnienia dalsze dotyczące jej kierunku.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

PRZYSZŁOŚC SZKOLNICTWA POLSKIEGO

(Dokończenie)

NAJRADYKALNIEJSZYM środkiem byłoby przekreślenie powszechnego nauczania i to zagadnienie dość często bywa wysuwane. Jeśli to zrobimy, to wydatek na szkolnictwo powszechne zredukuje się do kilku lub kilkudziesięciu zaledwie miljonów. To jednak gotuje obniżenie wartości samego państwa. Są jednak doktrynerzy, którzy pójdą raczej na skreślenie powszechności, aniżeli na ograniczenie organizacji samego szkolnictwa. Wyrzeczenie się powszechności byłoby haraczem za wielkim ze strony szkoły. Rozbudzone zaufanie w masach do organizacji szkolnictwa powszechnego upadłoby i nie możnaby było go już więcej podnieść. Praca 13 lat nad uświadomieniem mas runęłaby bezpowrotnie.

Szkoła ma wychowywać obywateli, by można było państwo i losy państwa powierzyć obywatelom oświeconym i takim, którzy mają poczucie odpowiedzialności za swoje czyny. Nadto powszechność obejmuje i ludność niepolską, nasze Państwo zamieszkującą. Po usunięciu powszechności agitacja antypaństwowa i wywrotowa nie miały hamulca.

Przy utrzymaniu powszechności realizacja powszechnego nauczania zależeć będzie w przyszłości od bardzo wielu czynnikow. Najważniejsze są: nauczyciel, izba szkolna, program, finanse i dzieci. Wszystkie te czynniki tworzą ze sobą nierozerwalną całość, żadnego nie należy wysuwać na plan pierwszy.

Zagadnienie ze strony nauczyciela przedstawia się tak: Dziś niema we wsi nauczyciela, któryby miał mniejszą liczbę godzin lekcyjnych aniżeli 30. Przeważnie mają ich więcej. Jeszcze tu i ówdzie po miastach zwłaszcza w Warszawie są nauczyciele, którzy mają tygodniowo 26, 27 i 28 lekcyj, a pozatem szereg innych zajęć wychowawczych. Czy dalszem obciążeniem nauczyciela sprawę kryzysu szkolnego się usunie? Nie. Przez obciążenie do maximum nauczyciela lekcjami, a poza maximum innemi zajęciami szkolnemi uzyska się wprawdzie szkolnych etatów paręset, ale nie zatrudni się ich na wsi, bo we wsi przeważnie brak pomieszczeń szkolnych, a te które są nienadają się na szkołę. Wsi się nie pomoże, miastu się zaszkodzi [1]).

Jeśli chodzi o zdobycie etatów, to teoretycznie wydaje się możliwe wprowadzić np. nowe postanowienia ustawowe o zaszeregowaniu nauczycieli do niższych grup i szczebli, a wtedy możnaby budżetem przeznaczonym na płace nauczycielskie, pokryć wszystkie brakujące obecnie i w przyszłości etaty nauczycielskie. Ale i to nie na wieleby się przydało. Same etaty sprawy nie rozwiążą, gdy niema potrzebnych izb lekcyjnych. Dlatego nie celowem będzie przekreślanie zniżek, udzielanych kierownikom. Dobro szkoły wymaga czujnej i stałej kontroli nad szkołą. Zapewnić ją może tylko kierownik, który nie będzie obarczany nadmiarem godzin lekcyjnych.

Drugim czynnikiem jest odpowiednia izba szkolna. Tych mamy dziś 56.000, a potrzeba 85.000. Z istniejących 56.000 połowa nie nadaje się na cele szkolne. Przez donajem odpowiednich izb rozwiązałoby się częściowo tylko głód pomieszczeń. Oddanie budowy wyłącznie samorządom terytorjalnym sprawę by znacznie popchnęło naprzód.

Trzecim czynnikiem będą sprawy programu i godzin zajęć. Można nasz program bez szkody dla całości wydatnie skrócić ilościowo i to powinno się zrobić, a wtedy można będzie obciąć liczbę

[1]) W roku szkolnym 1929/30 było (według Gł. Urz. St.):

szkół powszechnych	w miastach	2.058;	po wsiach	23.061.
nauczycieli	„	21.230;	„	49.593;
uczniów	„	872.470;	„	2.697.943

godzin. Nie mozna wprowadzać zmian oszczędnościowych w 1-no i 2-u klasowych szkołach, których jest razem 17.384 (11.089 plus 6295) [1]. W szkole jednoklasowej istnieją 4 oddziały z 7-mioma rocznikami. Na wszystkie 4 oddziały wypadać ma obecnie 30 godzin tygodniowo, na 1 więc oddział 7,5 godziny nauki.

Praca nauczyciela w takiej szkole jest bardzo trudna i ofiarna, a mimo to ludność ma to przekonanie, że czas dzieci nie jest należycie wyzyskany (ferje opałowe, epidemiczne i inne). W przyszłości po odjęciu paru godzin będzie jeszcze gorzej. Tu nie można nic redukować, bo z takiej nauki mało co pozostanie. O trzyklasowej szkole mówić trudno, bo taka naprawdę nie istnieje. Jeśli jest z nazwy, to ma program 2-klasowej, albo 4-klasowej zależnie od tego, czy ma 2 lub 3 nauczycieli.

Konieczność nas zmusza do poczynienia zmian i zredukowania w każdym oddziale, od 4-go począwszy, 2 — 4 godzin tygodniowo. Liczba 4-ro, 5-io, 6-cio i 7-klasowych szkół wynosi razem 4.928; efekt więc końcowy będzie bardzo duży. Operacja to bolesna, ale szczera i prostolinijna, a da w rezultacie nowych 4 — 7-miu tysięcy kompletów, (po 16 lekcyj na komplet) i umożliwi świeżemu napływowi dzieci korzystanie z nauki.

Dalszym sposobem pomnożenia kompletów szkolnych jest reorganizacja szkolnictwa powszechnego. Zacząćby należało od szkół, w których wyższe oddziały są nieliczne. Oddziały te należałoby łączyć z innemi, co w konsekwencji doprowadzić musi do obniżenia stopnia organizacyjnego szkoły.

I to należy zrobić, stan ten ustalić na szereg lat, gdyż ułatwi to wykonanie planu.

Zalecanie łączenia oddziałów z zatrzymaniem dawnej organizacji szkoły stwarza pozory, a tych w tak poważnej sytuacji należy unikać.

Czwarty czynnik, to finanse. Istnieje myśl założenia osobnego funduszu szkolnego, którego zadaniem byłoby uzyskanie funduszów na budowę szkół. Fundusz szkolny miałby powstać z dobrowolnych datków, z opłat stemplowych od podań, świadectw, częściowo z opłat za nauczanie oraz z wpływów skarbowych ze zwrotu pożyczek, udzielanych gminom na budowę szkół. Sprawa ważna, ale nie rozwiązująca sama tego poważnego zagadnienia. Wprawdzie ludność i dziś w okresie zimy znosi z domu drzewo na opał, aby uniknąć feryj opałowych, ale na tem budować nie można.

W nowszych czasach podnoszą się głosy niepopularne wprawdzie wśród rzesz nauczycielskich, aby oddać szkolnictwo w ręce samorządów, które będą umiały lepiej zdania realizacji powszechności nauczania wykonać, a wskazują na b. zabór austrjacki i pruski, w których powszechne nauczanie było już przed wojną przeprowadzone. Dokonały tam tego, a zwłaszcza w Małopolsce samorządy nawet niejednokrotnie wbrew centrali.

Głosów tych nie należałoby lekceważyć, należałoby jednak przedtem stworzyć te źródła dochodu samorządom na szkolnictwo powszechne, choćby np. w formie 3%-wych dodatków od wszystkich podatków.

Piąty czynnik zapobieżenia kryzysowi to dzieci. Jeżeli się nie ma etatów, budynków szkolnych, to należy zmniejszyć liczbę dzieci w szkołach. Z zasady powszechności wynika jednak, że równocześnie należy zapewnić im, o ile są w wieku szkolnym przyjęcie do szkoły. Będzie to możliwem jedynie przez zrewidowanie wieku szkolnego.

Wiek szkolny nie jest u nas jednolicie unormowany. Nasze polskie ustawodawstwo obowiązuje tylko na terenie byłego Królestwa, gdzieindziej ustawodawstwo b. państw zaborczych. W byłym zaborze rosyjskim obowiązek trwa 7 lat; zaczyna się po 7 roku życia i trwa do skończonego 14 roku życia. W byłym zaborze austrjackim obowiązek szkolny trwa zasadniczo 6 lat, tylko tam, gdzie są szkoły powszechne 7-klasowe, obowiązek szkolny trwa 7 lat; zaczyna się po ukończeniu 6 roku życia i trwa do 12 względnie 13 r. życia. W poznańskiem i pomorskim trwał lat 8, potem zredukowano 1 rok już za naszych czasów i trwa obecnie 7 lat od ukończonego 6 względnie 7 r. życia do skończonego 13 względnie 14. Na Śląsku trwa lat. 8.

Nie wyrzekając się w zasadzie 7-mioletniego obowiązku szkolnego, należy go jednak umieć dostosować do obecnego kryzysu szkolnego.

Przesunięcie początku wieku szkolnego na rok później sprawy nie rozwiązuje, trzeba wiek szkolny na czas kryzysu wydatnie skrócić i to nie wszędzie. Nie będzie można tego zrobić w całej Polsce ze względów zasadniczych, musi się jednak stan prawny dostosować do potrzeb obecnych i przyszłych. Stan obecny należy zostawić w miastach oraz w poznańskiem i pomorskiem. W woj. centralnych tam, gdzie dotychczas było 4 względnie 5-cioletnie nauczanie, tam zostawić i utrwalić ten stan na pewien czas. W woj. wschodnich, gdzie braki w dziedzinie szkolnictwa są największe, gdzie frekwencja sięga 50 do 60% wprowadzić 5-letni obowiązek szkolny, a naukę ograniczyć do lat pięciu; nie wywoła to wcale złych skutków; w Małopolsce zostawić 6-letnie nauczanie.

Prawda, że wytwarza to różnicę między wsią i miastem, ale nie ma innej rady. Środek to nie miły, ale wieś go przetrzyma. Szkoła 5-letnia, jak rezultaty wskazują, może w pewnych warunkach wystarczyć.

Są dążenia do zlikwidowania szkół, które mają pomieszczenia mniejsze, niż 24 mtr.^{2} podłogi. O ile słusznem jest, by nowych szkół nie zakładać tam, gdzie odpowiednich warunków lokalowych nie ma, o tyle likwidowanie szkół istniejących musi wywołać żal, a nawet reakcję. Odczułby to przedewszystkiem były zabór rosyjski. Opierając się na materjale urzędowym z r. szk. 1925/26, umieszczonym w publikacjach Ministerstwa W. R. i O. P. p. t. „Szkoły Powszechne Rzp." należałoby w województwie Warszawskiem zlikwidować 524 szkół, w białostockiem zaś 418 szkół i pozbawić nauki w obu województwach przeszło 60.000 dzieci. Wzmożony więc przyrost dzieci wzmocniłby się nowym przyrostem dzieci, które nie mogą korzystać z nauki z powodu likwidacji szkoły.

Dodać należy, że naturalny przyrost nowych dzieci zasila się bardzo wydatnie przez t. zw. drugoroczność. Co najmniej 25% pierwszych oddziałów zatrzymuje się na rok następny w tym samym oddziele.

---

[1]) Organizacja szkół powszechnych w roku 1929/30.

	szkół było	z tego w miastach	po wsiach
1-klas.	11.089	97,	10.992
2 „	6.295	49,	6.246
3 „	2.807	37,	2.770
4 „	1.278	38,	1.240
5 „	638	47,	591
6 „	395	55,	340
7 „ i wyższych	2.617	1.935,	882
Razem:	25.119	2.058	23.061

(dane Gł. Urz. Stat.)

Prosty rachunek wskaże, że liczba ta wynosi w sumie przeszło 200,000 rocznie. Przyczynia się to do zaostrzenia kryzysu jeszcze więcej.[1])

Należy wobec tego postawić sobie pytanie, czy opłaci się forsować szkoły 7-mioklasowe.[2]) Stan faktyczny tego szkolnictwa przedstawia się tak: Ze szkoły 7-klasowej korzystało w miastach w roku 1929/30 95% uczniów, na wsi tylko 14%. Tych 14% rozkłada się na poszczególne dzielnice naszego państwa następująco: 60% na Śląsku, 17% w województwach centralnych, 9% w województwach południowych. 7,5% w województwach wschodnich, w województwach pomorskiem i poznańskiem 3,6%. Ze szkół więc 7-klasowych prócz Śląska korzysta stosunkowo nie wielka liczba dzieci wiejskich, a i ta która tę szkołę kończy, nie chce zostać na roli. Najfatalniejszem zaś jest to, że normalnie w 7-iu latach kończy tę szkołę zaledwie garsteczka uczniów, inni kończą ją powtarzając niektóre klasy raz i więcej. Stąd tak wielka liczba uczniów znajdujących się w szkole, a będąca już poza wiekiem obowiązku szkolnego (około 15%).

Wobec tego tendencjom, zmierzającym do usunięcia ze szkoły wszystkich, którzy są poza wiekiem obowiązku szkolnego, nie można się przeciwstawić; wywołane są one twardą koniecznością.

Do szkół średnich ogólnokształcących przechodzi ze szkół wiejskich 7 klasowych zaledwie niewielki ułamek procentu.

Dlatego też wieś nie odczuje zmniejszenia 7-letniej nauki na 5-cio letnią.[3]) Powinno się podnieść zaufanie do szkół nisko zorganizowanych i przyjść im z wydatną pomocą, tembardziej, że jeszcze długo będą one jedynemi szkołami większości młodzieży.

Ze zmniejszeniem liczby dzieci idzie zmniejszenie budowy, zmiana organizacji szkół oraz rewizja naszych pojęć o jednolitości szkolnictwa. Dziś mówić u nas o jednolitości szkolnictwa, opartej na 7-mio klasowej szkole powszechnej nie można. Jednolitością szkolnictwa wstrząsa łączenie oddziałów i redukcja godzin nauki. Wobec tego musi się szkolnictwo średnie odpowiednio rozbudować i zatrzymać wszędzie 8-letnią naukę; programy musi się odpowiednio zmienić, a opłatę za naukę w tych szkołach znieść. Młodzieży ze szkół powszechnych należałoby ułatwić wstęp do szkół średnich przez stworzenie odpowiednich kursów. Szkolnictwo zawodowe musi się dostosować do zmienionych warunków szkoły powszechnej, a nadewszystko musi stworzyć szereg niższych typów szkół.

Wobec tego, że etatów obecnie ani w przyszłości powiększyć nie będzie można należy dotknąć sprawy przyrostu nowych kandydatów nauczycielskich z naszych zakładów kształcenia nauczycieli. Produkują one rok rocznie pewną ilość kandydatów nauczycielskich, a ci posad nie otrzymują. Już dziś ponad 5000 absolwentów seminarjalnych jest bez posad nauczycielskich. Wytwarza się zastęp zwiększający się rok rocznie malkontentów. Seminarja nauczycielskie miały i mają wielu przeciwników nadewszystko dlatego, że stały się szkołą ogólnokształcącą, a nie szkołą zawodową, jąką być powinny. Uczono wiele, ale nie nauczono przyszłego nauczyciela jak ma żyć na wsi, jak ma uprawiać grunt szkolny i ogród szkolny, jak ma postępować, by być doradcą i opiekunem wsi.

Należałoby zacząć likwidować część seminarjów nauczycielskich i innych zakładów kształcenia nauczycieli. W pozostałych powinno się program nauki dostosować do życia. W konsekwencji byłyby seminarja częścią o przewadze nauk z zakresu rolnictwa, częścią z zakresu przemysłowo-handlowego.

Wszystkie te wskazania wynikają z obecnego kryzysu szkolnego i mogłyby być łatwo bez wielkich zabiegów ustawodawczych przeprowadzone. O ile chodzi o obowiązek szkolny, to na terenie byłego Królestwa możnaby dzieci urlopować z obowiązku szkolnego, gdzieindziej zaś zwolnić.

Przy utrzymaniu zasady powszechności i przy konsekwentnem przeprowadzeniu planu w najbliższych co najmniej 20 latach uniknie się złych skutków kryzysu szkolnego.

Zasady planu są:

1. Wyzyskać pracę nauczycieli i kierowników do maximum ich ustawowych sprawności przy obciążeniu jednak nie przekraczającem 50 dzieci na 1 nauczyciela.

2. Program nauczania należałoby skrócić pod względem ilościowym i zredukować liczbę od 2-4 we wszystkich 4-ro, 5-io, 6-io i 7-io klasowych szkołach od 4-go oddz. w górę.

3. Skrócić w zasadzie obowiązek szkolny o 2 lata i wprowadzić zamiast 7-letniej nauki, naukę 5-io letnią w województwach wschodnich i częściowo centralnych, 6-io letnią zaś w województwach południowych.

4. Przeprowadzić organizację szkół powszechnych i uzależnić ją od ilości nauczycieli w danej szkole.

5. Uznać, że zasada jednolitości szkolnictwa ma istnieć, oparta jednak na pierwszych 4-ech oddziałach przy pełnej 8-letniej szkole średniej.

6. Znieść częściowo seminarja nauczycielskie i inne zakłady kształcenia nauczycieli, a szkolenie przyszłych nauczycieli oprzeć obok tego na maturzystach szkół średnich, przygotowanych odpowiednio na specjalnych kursach w zakresie pedagogicznym oraz w zakresie wiadomości potrzebnych nauczycielowi na wsi.

Są to ofiary, które należy ponieść dla dobra całości.

Okres romantyczności minął. Sił już liczyć na zamiary nie można. Program musi być realny i konsekwentnie przeprowadzony. Nie należy się wyrzekać przeprowadzenia dalszego planu, należy go tylko na jakiś czas odłożyć. Winić nikogo nie można, że plan dawny się załamał.

STANISŁAW TYNELSKI

---

[1]) Sprawa drugoroczności w liczbach:
Promowano w r. 1927/8 w publ. szk. powsz. 74,1%.
Niepromowano „ „ „ „ 25,6%.
W miastach było niepromowanych 21,7%, we wsi 27,4%.
(Dane Gł. Urz. Stat.)

[2]) Z 7-mioklasowych szkół powszechnych i wyższych korzystało uczniów:
w miastach na ogólną liczbę 872.470 uczn. 823.022 t. j. 95%,
po wsiach „ „ „ 2.697.943 „ 384.696 t. j. 14%.

Procent dzieci, chodzących do 7-klasowych szkół powszechnych i wyższych powszechnych rozkłada się następująco:
w województwach centralnych w miastach 98%, we wsi 17%
„ „ wschodnich „ 93% „ „ 7,5%
„ „ poznańsk. i pomor. „ 89,3% „ „ 3,6%
„ „ śląskiem „ 91% „ „ 60%
„ „ południowych „ 90% „ „ 9%.
(Dane Gł. Urz. Stat.)

[3]) W r. szkolnym 1927/8 było absolwentów szkół powszechnych:
w województw. centralnych w miast. 18,240, po wsiach 4,682;
„ „ wschodnich „ 2,270, „ „ 588;
„ „ pozn. i pomorsk. „ 79,880, „ „ 501;
„ „ śląskiem „ 4,746, „ „ 10,975;
„ „ południowych „ 16,714, „ „ 2,476;
(Dane Gł. Urz. Stat.)

NACJONALIZM NIEMIECKI

(Z POWODU KSIĄŻKI ALFREDA ROSENBERGA *„DER MYTHUS DES 20 JAHRHUNDERTS“*)

OPINJA publiczna wszystkich krajów europejskich została uderzona wielkiem zwycięstwem wyborczem stronnictwa narodowych socjalistów w Niemczech. Nazwisko przywódcy tego stronnictwa, Adolfa Hitlera, stało się wysoce popularne. Dziś wszakże jeszcze nie są dostatecznie rozumiane ani znaczenie, ani oblicze duchowe tego ruchu. Do świadomości ogółu bowiem dochodzą popularne hasła hitlerowców, oraz opaczne przedstawianie tego obozu przez przeciwników, pozostają natomiast ciemne jego istotne podstawy.

Trzeba zaś zdawać sobie sprawę z tego, że Hitler jest wyrazicielem prądów, które przebiegają głębokie podświadome pokłady duszy niemieckiej, że przeto reprezentuje on siłę historyczną, która się wprawdzie jeszcze nie uzewnętrzniła, lecz która spełni swą rolę dziejową. Kto myśli o polityce niemieckiej i o przyszłości Niemiec, ten musi wziąć w rachubę ruch hitlerowski. Ruch ten nie słabnie, lecz pogłębia się i rozszerza. Któż zaś winien lepiej wiedzieć, co się w Niemczech dzieje, jak Polacy? Wszak konflikt polsko-niemiecki jest, jeśli nie największą, to w każdym razie jedną z największych tragedyj starego europejskiego kontynentu.

Oto dlaczego zwracamy uwagę czytelnika polskiego na wydaną niedawno książkę: *„Der Mythus des 20 Jahrhunderts“*, napisaną przaz najbliższego współpracownika Hitlera — p. Alfreda Rosenberga, naczelnego redaktora organu hitlerowców: *„Der Volkische Beobachter“*, autora szeregu książek, młodego człowieka, posiadającego niewątpliwie duże wykształcenie historyczne, filozoficzne, mającego opinję najtęższego umysłu w obozie narodowo-socjalistycznym.

Wielki tom, liczący 700 blisko stronic, zawiera zbyt obfity materjał, by się kusić o jego streszczenie w artykule sprawozdawczym. Znajdujemy w nim bowiem nietylko ideowe podstawy światopoglądu nacjonalistycznego w ujęciu zwolenników Hitlera, lecz także przedstawienie z tego stanowiska całego historycznego rozwoju ludzkości, analizę różnych wierzeń religijnych, sztuki różnych narodów, wreszcie praktyczne wnioski i wskazania polityczne na chwilę bieżącą. Pragniemy tedy tylko zwrócić uwagę czytelnika polskiego na podstawy, na których p. Rosenberg opiera cały swój światopogląd i swoją filozofję polityczną.

Punktem wyjścia jest dla niego pojęcie r a s y. Kultura jest wytworem rasy. Każda rasa posiada swą odrębną duszę, każda rasa posiada swój najwyższy ideał, a jej dusza swoją własną wewnętrzną i zewnętrzną architektonikę, swój odrębny styl. Życie wewnętrzne rasy, wyrażającej się w postaci narodu nie opiera się na rozwijającem się logicznie rozumowaniu, lecz na tworzeniu się mitu, przybierającego kształt wiary, systemu filozoficznego, powszechnie przyjętego światopoglądu.

Treścią dziejów ludzkości jest walka ras, uwarunkowana faktem podstawowej i trwałej tych ras nierówności. Tutaj idzie p. Rosenberg śladami francuskiego pisarza Gobineau i zniemczonego Anglika H. S. Chamberlaina, którego jest wielbicielem i komentatorem [1]). Pierwsze miejsce wśród ras, które wycisnęły swe piętno na dziejach ludów Europy i Azji, zajmuje rasa nordyczna. Tu znów opiera się p. Rosenberg na teorji nordycznej znanego i głośnego prof. Gunthera, który usiłuje uzasadnić metodą naukową prymat nażących do rasy nordycznej Germanów w Europie współczesnej. Historja Grecji, Rzymu i wychowanej na tradycjach grecko-rzymskich Europy zachodniej jest wypełniona walką rasy nordycznej z innemi niższemi od niej rasami i z rozkładającemi wpływami, idącemi z Azji. Grecja upadła naskutek zwycięstwa odniesionego przez potomków ludów dawniej ją zamieszkujących nad zdobywczemi Hellenami. W Rzymie nordyczni Latynowie ulegli wpływom Etrusków, Ligurów, Fenicjan, Żydów i t. d., co się zakończyło upadkiem państwa. Dzieje średniowieczne i nowożytne Europy — to nieprzerywające się pasmo zmagań rasy nordycznej z rozkładającemi ją wpływami ras niższych; czynnikiem decydującym tych dziejów są Germanowie; wszak oni — jak sądzi p. Rosenberg— utworzyli wszystkie państwa w krajach zachodzącego słońca i dali tym krajom wszelkie wartości twórcze, „A gdy rzucimy okiem“ — powiada filozof nacjonalizmu niemieckiego — „na dzieje ludzkości od czasów zamierzchłej przeszłości aż do nowoczesnej teraźniejszości, to oto, jeśli się nam przedstawi widok wielostronności i siły twórczej rasy nordycznej, aryjskie Indje obdarowały świat m e t a f i z y k ą, o niedoścignionej nigdy później głębokości; aryjska Persja dała nam m i t r e l i g i j n y, którym dziś jeszcze żyjemy; historyczna Hellada wyczarowała na tym świecie p i ę k n o tak doskonałe, że nikt od tego czasu jej nie dorównał, daleki Rzym dał nam przykład, jak musi sobie zorganizować p a ń s t w o zbiorowość ludzką, jeśli się chce rozwijać i rozwoju swego bronić. A germańska Europa obdarowała świat najbardziej świetlanym ideałem ludzkości: nauką o wartości c h a r a k t e r u, jako podstawie wszelkiej etyki, oraz hymnem ku czci najwyższych wartości nordycznego bytu — idei wolności sumienia i h o n o r u. O te wartości i ideały toczyła się walka na wszystkich polach literackich, we wszystkich pracowniach naukowych, a jeśli nie zwyciężą one w przyszłej wielkiej walce, to zginą kraje zachodzącego słońca i krew ich ludów, jak zginęły niegdyś i pogrążyły się w chaos Indje i Hellada”.

A wiek XIX-ty? „W wieku tym powiada p. Rozenberg — widzimy obok siebie trzy systemy. Jeden — to pierwotny, na wolności duszy i idei honoru oparty Zachód; drugi — to wykończony dogmat rzymski pokornej miłości, pozostający w służbie jednolitego duchowieństwa; trzeci — to zapowiedź chaosu, nieograniczony, materjalistyczny indywidualizm, zmierzający do ustanawiania panowania nad światem pieniądza, jako jednoczącej, tworzącej jednolitej, siły.”

Tak pojmuje toczącą się dziś w świecie walkę nacjonalizm niemiecki. To, co powyżej powiedziano,

[1]) W dawniej wydanej książce: *„Houston Stewart Chamberlain, als Verkünder und Begründer einer deutschen Zukunft“*.

wystarczy chyba, by zrozumieć, że nie mamy tu do czynienia z systemem filozoficznym lub politycznym, lecz z dogmatami wiary w decydującą rolę rasy, jako czynnika dziejowego; w wyższość rasy germańskiej, której nowe Niemcy są najdoskonalszym i ostatecznym wyrazem. To jest ów mit XX-go wieku, owa nowa wiara, o której wyraźnie i szczerze mówi p. Rosenberg: „Dziś budzi się nowa wiara — mit krwi, wiara w konieczność obrony ofiarą z krwi boskiej istoty człowieka; wiara, złączona z jasną wiedzą, że krew nordyczna jest tem misterjum, które zastąpi i przezwycięży dawne sakramenty".

Prądy nacjonalistyczne przebiegają dziś wszystkie narody, nietylko Europy zachodniej, lecz całego świata. Są w nich pewne rzeczy wspólne, są jednak również wielkie różnice. Rzecz zrozumiała— wszak źródłem powstawania tych prądów są najgłębsze, podświadome pokłady dusz zbiorowości narodowych, a przedmiotem ich działania różne historycznie wytworzone narody.

Nacjonalizm niemiecki ma cechy bardzo swoiste... opiera się na wierze w wyższość rasy germańskiej, jest przeniknięty niespotykanym bodaj nigdzie indziej mesjanizmem. Jest w całem tego słowa znaczeniu pogański.

Jeśli się chce zrozumieć współczesne Niemcy, jeśli się chce przewidzieć przyszły rozwój ich życia wewnętrznego, i ich polityki zewnętrznej, to trzeba sobie zdawać dokładnie sprawę z podstawowych wierzeń narodu niemieckiego. Bo o tem trzeba pamiętać, że wprawdzie najbardziej oddanemi wyznawcami owego mitu 20-go wieku są te tłumy, które idą za hasłami głoszonemi przez Hitlera, lecz w mniejszym lub większym stopniu jest ten mit czynny w duszach wszystkich Niemców, o ile nie są one przesiąknięci wpływami zgoła i całkowicie obcemi.

Mówią o Niemcach, jako o narodzie filozofów i uczonych, jako o znakomitych organizatorach i trzeźwych politykach. Tymczasem, kto bliżej zna Niemcy ten się zgodzi z twierdzeniem, że o ile ich uczeni i filozofowie nie byli li tylko klasyfikatorami i rzemieślnikami, jeśli ich kupcy, przemysłowcy i politycy nie są tylko technikami zabiegającemi wyłącznie o zysk lub powodzenie doraźne, to dominującym czynnikiem w ich duszy jest ów mistycyzm, który usiłuje określić i wyjaśnić pan Alfred Rosenberg, a któremu daje wyraz i organizację najbardziej typową Adolf Hitler.

Tu także napotykamy na dziedzinę, w której leży cała trudność i całe niebezpieczeństwo problemu niemieckiego.

STANISŁAW KOZICKI

PAMIĘCI PORUCZNIKA JANA SURZYCKIEGO

(POLEGŁEGO W OBRONIE ŚLĄSKA W MAJU 1921 R.).

Meorum prime sodalium...

Kwiaty — i kwiaty wokoło,
jak w czernichowskim ogrodzie...
Idę za tłumem — i pochylam czoło
przed tą trumienką — na przodzie.

Słońce na kroplach rosy połyska tęczowo,
precz rozgania ostatki porannej omroczy.
Idę, idę — z opuszczoną głową —
i w ziemię utkwiłem oczy.

Planty, odziane barwą zieloną i krasną,
szelestem wiatru gwarzą i ptaszęcą pieśnią...
dzyliż tym ludziom, co na wieki zasną,
Cawne sny szczęścia się odeśnią?

Skrwawiona szabla na trumnie
i białych kwiatów wiązka...
Przywieźli, przywieźli ku mnie
Jasia mojego ze Śląska!

Przywieźli — by we mnie rozpalić
tę jego śmiertelną ranę,
by w mojej myśli utrwalić
te rysy, tak dobrze mi znane!

Przywieźli — do wspólnych szeregów
raz jeszcze — ostatni — powołać
dwóch druhów — przyjaciół, najpierwszych kolegów,
co razem przez życia szli połać.

Dwóch druhów-przyjaciół, związanych przyjaźnią
już od lat dwudziestu czy więcej,
bo przyjaźń zawarli i braterstwo broni
w epoce życia dziecięcej.

Pamiętasz, Jasiu, ten czas piękny, czas młody,
gdyśmy śnili o bitwach — piorunach —
gdy z mym koniem drewnianym biegł chyżo w zawody
twój siwy koń na biegunach?

Pamiętasz o mej strzelbie, o twej lancy kończastej,
o tych naszych rycerskich zapędach,
gdyśmy szablą rąbali pokrzywy i chwasty,
co tłumiły nam kwiaty na grzędach?

Wszeiki chwast był nam wrogiem — więc zaciekłyme
zwalczaliśmy go i tępili, [atakmi
bośmy wiernie i święcie służyli pod znakiem
wonnej Róży i przeczystej Lilji.

A gdy wiedliśmy długie przyjacielskie rozmowy,
nieraz jeden drugiemu to wyzna,
że kiedyś za Polskę tak walczyć będziemy,
gdy do czynu nas wezwie Ojczyzna.

Dotrzymaliśmy obietnic, bo w porę-ż
sen się ziścił, w dzieciństwie wyśniony,
i za Polskę podnieśliśmy oręż,
gotów do pomsty krwawej i obrony.

A gdy wielka skończyła się wojna,
ty, żołnierskiego pomny obowiązku,
poszedłeś jeszcze walczyć w powstaniu
za naszych braci na Śląsku.

W czystem cię polu znaleźli —
a przy tobie krwi kałuża grząska —
i tu cię do mnie przywieźli —
Jasia mojego ze Śląska.

Przed ludzi rzeszą idziesz przodem,
twa szabla odbłyska się w słońcu.
Za twoim dziś, Jasiu, przewodem
idę — na szarym gdzieś końcu.

Na lawecie cię wiozą armatniej —
dziś,choć młody, od wszystkich tyś starszym.
Dzisiaj, Jasiu, już po raz ostatni
żołnierskim z tobą kroczę marszem!

O, po wieki będziesz mi żywy,
choć zebrany śmiercią bezlitosną.
Nie zgłuszą twej mogiły chwasty i pokrzywy.
lecz na niej wonne róże i lilje wyrosną.

Kwiaty — i kwiaty wokoło,
jak w czernichowskim ogrodzie...
Idę za tłumem i pochylam czoło
przed tą trumienką na przodzie...

1931.

JÓZEF BIRKENMAJER

GŁOSY

MY A OBÓZ NARODOWY.

Poniższe uwagi otrzymaliśmy od starszego linjowego oficera legjonisty. Aczkolwiek poglądy p. R. D. znacznie różnią się od poglądów „Legjonisty“, chętnie je umieszczamy w przeświadczeniu, że rzeczowa dyskusja musi przyczynić się do ustalenia „wspólnego mianownika ideowego“ pomiędzy obozem Narodowym a zdrową częścią obozu Legjonowego. (Red.).

UKAZAŁ się niedawno na łamach „Myśli Naronarodowej“ (Nr. 23 z b. r.) interesujący artykuł p.t. „Co nas dzieli?“, podpisany pseudonimem „Legjonista“. Treścią tego artykułu są rozważania na temat znalezienia „wspólnego mianownika ideowego“ dla niesanacyjnej części Obozu Legjonowego oraz dla Obozu Narodowego. Możność ta, zdaniem autora, istnieje, jednakże realizacja zależy od obustronnej dobrej woli oraz od... wyrozumiałości, którą winien okazać Obóz Narodowy.

Rozpoczętą w ten sposób dyskusję podjęła rychło „Gazeta Warszawska“, dając wyraz swoim poglądom w artykule redakcyjnym („Odpowiedź Legjoniście“) ogłoszonym w dn. 9. V b. r. Autor artykułu, potwierdziwszy fakt podziału Obozu Legjonowego na dwie grupy, które muszą być odmiennie traktowane, daje historyczną ocenę zasług tego Obozu. Zamykają się one, jego zdaniem tylko w latach 1918 — 20, gdyż rezultaty prac niepodległościowych z okresu wojny światowej są „niemal wyłącznie... dziełem politycznej działalności Dmowskiego i jego współpracowników“. Współpraca Obozu Narodowego z Obozem Legjonowym jest według „Gaz. Warsz.“ możliwa pod warunkiem przyznania przez ten ostatni, że „założenie polityczne Legjonów Piłsudskiego było mylne“.

Niejako w odpowiedzi na poglądy „Gaz. War.“ zabrała po raz drugi głos „Myśl Narodowa“ Nr. 24 z b. r.) przytaczając dosłownie artykuł St. Kozickiego z r. 1918 („Tragedja Legjonów“) praca Kozickiego, jako wyraz opinji ówczesnego Komitetu Narodowego, przyznająca Legjonom Piłsudskiego niezaprzeczalny udział w odbudowie niepodległości. jest zdaniem „Myśli Narodowej“ dowodem, że obóz Narodowy ocenił właściwie czyn zbrojny z lat 1914 — 1917. Ocena ta pozostała dotąd niezmieniona, jednakże kwestja sądu o okresie „1918 — chwila obecna“ będzie musiała być odmiennie załatwiona.

Taki był dotychczas przebieg dyskusji. Nasunęła ona mi szereg zastrzeżeń, które postaram się przedstawić i oświetlić możliwie objektywnie. Przedtem jednak zaznaczę, że jestem legjonistą od 1914 roku; mam dane przypuszczać, że w swoich poglądach nie jestem odosobniony. Nawiązanie współpracy między Obozem Legjonowym a Obozem Narodowym uważam za palący nakaz chwili. Sytuacja Polski jest tego rodzaju, że każdy stracony w tym względzie moment jest poprostu przestępstwem wobec państwa i narodu.

Wracając do wysuniętych zastrzeżeń muszę na wstępie stwierdzić, że wszelkie komplikacje, gdziekolwiek i kiedykolwiek stosowane, odsuwają zawsze pomyślne wyniki na dalszy plan. O co bowiem chodzi? Chodzi o to, że niesanacyjni legjoniści, posiadając obecnie wspólną z Obozem Narodowym ideologję, pragnęliby z tym obozem ściśle współpracować. Jak to zrobić? Oto poprostu stworzyć wspólny program i pójść dalej już ręka w rękę. Kwestja obustronnej działalności z okresu wojny światowej, w objektywnej i naukowej ocenie, dałaby, zgodnie ze słusznem zadaniem „Gaz. Warsz.“, ważne i podstawowe wytyczne dla przyszłej współpracy. Jednakże zajmowanie się przeszłością należałoby postawić na drugim dopiero planie. Pierwsze miejsce powinna zająć przedewszystkiem i wyłącznie praca nad ustaleniem programu na okres bieżący. Czas nagli!

Oto i załatwienie. Proste — a więc dobre. Tendencje wyżej cytowanych autorów nie dają tego wrażenia, bowiem komplikują sprawę przez wysuwanie zbytecznych, mojem zdaniem, a trudnych do przyjęcia przez drugą stronę warunków. Jedną z tych komplikacyj stanowi propozycja „Legjonisty“, aby Obóz Narodowy okazał nam... wyrozumiałość. Nie mogę dopatrzeć się tu uzasadnienia, gdyż Obóz Narodowy ma również w swojej przeszłości błędy, popełnione zresztą w najlepszej intencji. A więc wyrozumiałość musi być obustronna, — i takie jedynie ujęcie, jako wyłącznie słuszne i sprawiedliwe, może nas doprowadzić do wytkniętego przez „Legjonistę“ celu. Nie stanowi również kroku wprzód żądanie „Gaz. Warsz.“, aby Obóz Legjonowy stwierdził na wstępie, że „założenie polityczne Legjonów Piłsudskiego było mylne“. Ma to być warunek *sine qua non*. Oczywiście, przyznanie takie możemy złożyć, — jednak po co to wszystko? Z chwilą, kiedy coś jest zgodne z prawdą, a tak jest w danym wypadku, — to niczyje najsolenniejsze przyrzeczenia nie potrafią tego odwrócić. Zwłaszcza w stosunku do przeszłości. Żądanie „Gaz. Warsz.“ byłoby uzasadnione w stosunku do grupy, zajmującej się tworzeniem „legendy“.

Byłoby nawet konieczne. W danym wypadku jednak chodzi o przeciwny odłam Obozu Legjononowego, nie mający z tą sprawą nic wspólnego. Jeśli zatem autorem artykułu kierowała inna intencja, np. chęć wykazania po której stronie była trafność przewidywań, to muszę i tej rzeczy na wszelki wypadek dotknąć. Uważam mianowicie, że w 1914 r. nikt nie był w stanie określić, na czyją stronę przechyli się ostatecznie szala zwycięstwa. Stojąc zatem wówczas przed ową nieprzeniknioną zasłoną, obieraliśmy różne drogi, choć cel był wspólny. Obóz Narodowy miał większe szczęście, ale tylko szczęście. Fakty te nie mogą jednak wpływać na ocenę działalności obu Obozów. Sprawdzianem jest tu tylko stopień włożonego wysiłku, a nie ostateczny rezultat. Gdyby było inaczej, to wówczas żołnierz z 1920 roku miałby prawo do wyższości nad żołnierzem z 1831 roku.

Pragnę jeszcze omówić następne twierdzenie „Gaz. Warsz.”. Brzmi ono następująco:... „odbudowanie państwa polskiego było niemal wyłącznie dziełem... politycznej działalności Dmowskiego i jego współpracowników”. Najlepszą odpowiedzią są tu słowa Kozickiego:... „narody zdobywają niepodległość li tylko krwią i żelazem”. Tak było i w tym wypadku, bowiem jest rzeczą jasną, że na decyzję koalicji w sprawie polskiej w znacznym stopniu wpływ miał odgłos polskich karabinów,—gdziekolwiek one strzelały. Nie ilość ich grała rolę, lecz sam fakt dobitnego wskazywania, że mamy prawo do samodzielnego bytu. Pozwolę sobie przypomnieć, że istnienie armji Hallera stanowiło poważny atut w ręku Dmowskiego w grze o Polskę na konferencji pokojowej. Proklamowanie Królestwa Pol-

skiego, aczkolwiek było aktem wypływającym z wyrachowania Niemiec i Austrji, było wyrazem liczenia się Niemców z nami, było zasługą nie polityki, a przeważnie—I i II Brygad Legjonów.

Ta dyskusja daje mi możność ponownego położenia nacisku na konieczność stosowania objektywizmu w ocenie przeszłych wydarzeń. Zaprasza zresztą do tego „Gaz. Warsz.", proponując powiedzenie sobie wzajemnie „całej prawdy". Bez tego zawsze będą w powietrzu jakieś zatrute mjazmaty (podsycane starannie przez obecnie rządzących ludzi), utrudniające a nawet uniemożliwiające zgodną współpracę obu Obozów.

Pozostaje do omówienia kwestja oceny działalności Obozu Legjonowego po odzyskaniu i umocnieniu niepodległości.

W tym okresie brał udział w życiu politycznym wyłącznie odłam tak zwany „sanacyjny" Obozu Legjonowego. Z czysto „technicznych" względów nie mogę omawiać bliżej tej sprawy. Jestem jednak pewien, że jest to istotnie to „co nas dzieli". Gdyby nie to,—rozbieżności wyżej omawiane straciłyby znacznie na swej ostrości. Mam nadzieję, że przyjdzie czas na wyodrębnienie niektórych ludzi z Obozu Legjonowego oraz na właściwe wyświetlenie ich roli w życiu Polski w ciągu ostatnich paru lat. Wówczas dopiero będzie mogła być mowa o naprawdę pełnej współpracy Obozu Legjonowego z Narodowym.

Jednakże już obecnie jest najwyższy czas, by wspólnemi siłami oczyszczać przedpole dla tej współpracy. R. D.

NAUKA I LITERATURA

ŻYWOT MICKIEWICZA PO FRANCUSKU

Brak solidnej, nowoczesnej biografji tego najlepiej we Francji znanego poety polskiego, Mickiewicza, dał się przykro odczuwać. Dobrze się więc stało, że w kolekcji *„Le roman des grandes existencs"* (Plon—Paris) wyszła książka *„La vie de Mickiewicz"* w opracowaniu p. M a r j i C z a p s k i e j.

Pomijając trochę chropawą francuszczyznę i parę niedociągnięć — biografję tę można uznać za udałą. Najkrócej i najbardziej pobieżnie potraktowana jest część pierwsza „W kraju". Autorka przeszła nad latami wileńskiemi, procesem filomatów, dość prędko po dalszego ciągu życiorysu. Trochę monotonny ton książki byłby się napewno ożywił przy tych bądź co bądź dramatycznych i ciekawych przejściach wileńskich.

Zajmująco ujęła p. Czapska lata podróży i wędrówki poety *(Les années de voyage)* poczem już obszernie, często nawet zbyt obszernie opisuje dalszy ciąg życia Mickiewicza w Paryżu, Genewie, historję legjonu włoskiego i śmierć w Konstantynopolu. Pani Czapska czytała nowe prace o Mickiewiczu, korzystała z nich jednak bardzo ostrożnie. Nie stara się odbronzowić Mickiewicza, ale i nie zasłania jego ludzkich słabości, nieporozumień małżeńskich, chwil zwątpienia i oczarowania przez Towiańskiego. Epizod z Ksawerą Deybel jest poruszony bardzo lekko i dyskretnie.

Biografja p. Czapskiej uwydatnia Mickiewicza człowieka i patrjotę. Ofiarne wysiłki Mickiewicza na wszystkich polach, jego prace dla wolności Polski są dominantą w życiorysie. Za to twórczość poety zbyła autorka lakonicznemi wzmiankami. A szkoda. Harmonji i zasadom biografji szersze uwzględnianie twórczości poetyckiej nie byłoby nic zaszkodziło, przeciwnie biografja byłaby na tem zyskała, szczególnie dlatego, że przecież napisana jest dla cudzoziemskiego czytelnika. Wystrzeganie się skrupulatne nieprzekraczania ścisłych ram życiorysu uważać musimy za brak. Obcy czytelnik nie zrozumie, dlaczego Mickiewicz był wielkim poetą.

Osobne słówko poświęcić należy przedmowie francuskiego pisarza Drieu La Rochelle, która poprzedza biografję Mickiewicza. Stwierdzić należy, że Drieu La Rochelle, ani nie zrozumiał Mickiewicza, ani wogóle charakteru Polaka. Po krótkich uwagach na temat stosunku Francji do Polski parę powiedzeń zabawnych i zdawkowych zdań na temat Mickiewicza: więc wspomina o charakterze nieugiętym Mickiewicza, o jego duchu religijnym, który pragnął *„renouer eusemble les déux traditions de l'Europe, celle de l'Evangile et celle des Droits de l'homme."*, poczem twierdzi, że Mickiewicz posiada *„une naîveté sauvage du poète slave"*. Jakże zupełnie nie rozumie francuski pisarz naszego poety;

Możnaby jeszcze szereg takich niezrozumiałych momentów podnieść — gdyby one pochodziły z chęci zrozumienia poety. Ale Drieu La Rochelle zapewne nic dokładnego o Mickiewiczu nie wie. Należało więc być ostrożnym z przedmową. Przecież stanowisko pisarza znanego obowiązuje. Mimo więc tych niedociągnięć i usterek książka p. Czapskiej w dużej mierze spełni zamierzony cel.

Lubliniec G. H.

ALFRED JESIONOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niezwykłem zjawiskiem w beletrystyce jest świeżo wydana przez Tow. wydaw. „Patria" powieść S t e f a n a G o d l e w s k i e g o „Warszawa". Autor schwytał z czterech punktów widzenia legendę stolicy, dotąd artystycznie nie skonstruowaną, unoszącą się jak mgła nad ukochanem miastem. Wyławiając z tradycyj Warszawy nieuchwytne motywy poetyckie, które, jak włókna na jesień, czepiają się murów i serc ludzkich, wykonał z brawurą cztery freski historyczne. One już zostaną trwale, jako skończenie artystyczny kształt nadany wyobraźni historycznej.

Bohater powieści tej, Jacek Wolski, upodobał sobie, biorąc rzecz geograficznie, cztery punkty w Warszawie: Łazienki, Katedrę św. Jana na Starem Mieście, Rybaki i Krakowskie Przedmieście, skąd patrzył na świat Bolesław Prus i jego Wokulski. Rybaki — to początek Warszawy z główną figurą Warszowej, żony Warsza. Jest to zarazem legenda Wisły. Stare Miasto z katedrą to wizje średniowiecza i życia religijnego mazowieckiej stolicy. Łazienki żyją do dzisiaj te, które czasy Stanisława Augusta zaklęły siłą swego działania przez sztukę — w park Łazienkowski i w mury pałacu. Tam bohaterką p. Grabowska (Grabinka). Wreszcie Wokulski XIX w, żyjący dotąd i snujący z Wolskim plany na przyszłość — duch Warszawy nowożytnej.

Wizje te dostępne są biednemu chłopcu, obdarzonemu niezwykłą wrażliwością i pasją artystyczną formułowania widzeń w minjaturze sonetu. Każdy fresk Godlewskiego jest właściwie wykładem dziejów wewnętrznych sonetu Wolskiego. Całość dzieła rodem jest z pogranicza, gdzie tradycje zbiegają się z życiem dziejowem i z dziedziną sztuki, tam się poczynającej. Książka misternie wykonana, oparta na pracowitych studjach archiwalijnych, etnologicznych i literackich, a poczęta w duszy poetyckiej bardzo utalentowanej, niewielka rozmiarami rozrasta się w czytaniu, tak zatrzymuje wzrok szczegółami artystycznemi i misternością swej budowy filigranowej.

Zasługuje na uwagę szata drukarska wydania bardzo staranna. Recenzje obszerniejszą damy niebawem. B.

•

Upływa już 30 lat od śmierci A d o l f a D y g a s i n s k i e g o, wielkiego pisarza, poety przyrody i rasy polskiej, myśliciela i pedagoga. Plon jego twórczości nigdy za życia autora nie był dobrze zabezpieczony, Dygasiński bowiem nie umiał nim gospodarzyć, samorzutnie nie mógł też wydobyć się na widownię księgarską po jego śmierci. Nakłady czekają aż wygaśnie własność literacka spadkobierców. I krytyka pod nieobecność dzieł, milczała o Dygasińskim, co nie znaczy bynajmniej, jakoby nie odczuwała wielkiej jego dzieł wartości.

Schedy artystów mają swoje kryzysy zależne od giełdy. Żeby z tego impasu skarb Dygasińskiego wydobyć, córka jego p. Zofja Wolertowa i jej mąż Władysław, wiedli ostatniemi laty z nakładcami uporczywe boje. Homerem tych walk jest p. Wolert w notatce historycznej, zamieszczonej w „Pamiętniku Świętokrzyskim" p. t. „Drogi i bezdroża puś-

cizny literackiej śp. Adolfa Dygasińskiego". Obok w temże wydawnictwie oboje pp. Wolertowie zamieścili bardzo cenne przyczynki do życiorysu i dziejów twórczości pisarza: studjum „Adolf Dygasiński i Stanisław Witkiewicz" (Wł. Wolert) i „Poeta Ponidzia" (Zofja Wolertowa).

*

Nowy numer „Neofilologa" (maj — czerwiec) przynosi obszerne sprawozdanie z drugiego międzynarodowego kongresu nauczycieli języków nowożytnych, w którym uczestniczyli także polscy delegaci. (m. in. prof. Czeszny, prof. Łempicki) Jak wynika z sprawozdania stoi Polska zupełnie na europejskim poziomie w dziedzinie nauczania jęz nowożytnych. Głównym problemem zjazdu były metody nauczania języków obcych. Mimo, że metoda bezpośrednia zasadniczo zwyciężyła w Europie, nie brak dotąd gorących zwolenników metod dawniejszych. Szeroką dyskusję rozwinął problem płyt gramoonowych i radja w nauczaniu jęz. nowożytnych.

W tymże numerze znajdujemy interesujące uwagi p. H. Niemiewskiej o wychowaniu obywatelskiem na tle nauczania języka francuskiego, z którego młodzież wynieść powinna ideę człowieka czynu, który nakazom rozumu podporządkowuje interesy osobiste. Z poznania kultury francuskiej ma młodzież czerpać ideę solidarności, — dumy narodowej, hart, umiarkowany entuzjazm. — Prof. Zagajewski rozstrząsa problem: czy i jak uczeń poznaje kulturę obcego narodu — i proponuje pewne zasadnicze reformy w tej tak ważnej dziedzinie nauczania jęz. obcych. P. A. Jesionowski omawia wartości wychowawcze i narodowe korespondencji i młodzieżą zagraniczną. W całości prezentuje się ostatni numer Neofilologa bardzo zajmująco i poważnie. (A. J.)

*

Zeszyt drugi doskonałego kwartalnika śląskiego „Zaranie Śląskie" wydała redakcja z okazji W. Zjazdu Związku Muzeów w Polsce i otwarcia Muzeum Miejskiego w Cieszynie. Przeważna część artykułów w tym numerze jest więc poświęcona zbiorom i zabytkom Śląska Cieszyńskiego. Zasłużony historyk Cieszyna dyr. Popiołek omawia dzieje Muzeum Miejskiego, składającego się z kilku zbiorów. Najstarszy jest zbiór Ks. Leopolda Szersznika, fundatora pierwszego muzeum w Cieszynie w r. 1802. O wiele poważniejsze są zbiory późniejsze, zgromadzone przez niestrudzonego pracownika na tej niwie ks. prał. Londzina. Długo zbiory te tułały się w najrozmaitszych ubikacjach, nieuporządkowane i niszczące się. Obecnie mają własny gmach, dom łembowski, w którym dn. 21. czerwca tego roku nastąpiło uroczyste otwaraie Muzeum Cieszyńskiego. Zbiory zawierają książki, druki, dokumenty, mapy, plany, rzeźby, obrazy, meble, sztychy, ceramikę, tkaniny, hafty, broń monety, zabytki archeologiczne, kościelne, przyrodnicze. Nowe Muzeum stanie się cenną zdobyczą Cieszyna i będzie miało szczególnie wielkie znaczenie regjonalne. Projektuje się również komasację znajdujących się tam bibljotek. składające się z cennych zbiorów Ks. Szersznika, Macierzy Szkolnej i Zboru Ewangelickiego W artykule „O dział przyrodniczy w Cieszyńskiem Muzeum" omawia znany przyrodnik prof. K. Sinun organizację regjonalnego Muzeum przyrodniczego w Cieszynie. (A. J.)

*

Zdolna feljetonistka, p. Jadwiga Kiewnarska, pisująca w „Kurjerze Warszawskim" pod pseudonimem Well, wydała w Poznaniu (nakł. Wydawnictwa Polskiego) książkę p. t. „Dobre wychowanie na codzień". Nie jest to bynajmniej suchy i poważnie nudny „kodeks dobrego tonu" jaki z mozołem studjowali dawniejszemi czasy różni *homines novi*, pragnący wznieść się na poziom „towarzystwa". Ponieważ dziś w sferach towarzyskich władną nietylko *homines novi*, ale i *mores novi*, więc „kodyfikacja" wymagała nowych pod staw i nowej metody. P. Kiewnarska nie namyślała się nad tą kodyfikacją tak długo, jak sławetna Komisja Kodyfikacyjna, która od lat dwunastu dzielnie waruje na swym posterunku i pewnie jeszcze z piętnaście lat podobnie „pracować będzie", nic sobie nie robiąc z redukcji płac i urzędów. Z kobiecym sprytem odgadła (pani Well, nie Komisja) że najlepiej będzie, gdy sprawę ujmie — żywo i życiowo. Jak w swoim czasie nowe prądy nakazały skasowanie gorsetów i zastosowanie sukien nie krępujących swobody ruchów, tak i p. Well odrzuca pewne śmieszne nawyczki społeczne, krępujące swobodę — towarzyską. Szczególnie zwalcza „tytułomanję", drwiąc sobie z listy gospodyń balu, na której figuruje „obok hrabiny Maciejowej Staropolskiej mecenasowa Kita Wypędkiewiczowa z córkami Bebą, Lalą oraz baronowa Zuzia Naftalingeruch z córką Jagienką, mająca pozatem syna Zbyszka. „Niech się tam sobie biedny Sienkiewicz turla w grobie... ze śmiechu". W takim to tonie — swobodnym żartobliwym, dowcipnym — naucza swych czytelników pan, Kiewnarska o „tonie towarzyskim". Metoda nauczania doskonała (*very well, mrs Well!*), zwłaszcza że poparta czynnym przykładem. (J. B.)

*

Gdy przed wojną w szkołach zaboru rosyjskiego obowiązywała nauka języka cerkiewno-słowiańskiego, z nauki tej korzyść była niewielka dlatego że wspomniany język — wraz z zapachem cerkwi prawosławnej — przynosił nam przedsmak rusyfikacji, ale i dlatego, że sam sposób nauczania był idjotyczny, z prawdziwą wiedzą nie mający nic wspólnego: dość wspomnieć, że samogłoski i spółgłoski tego języka — na południu, przecie powstałego — kazano wymawiać zgoła fałszywie, bo na sposób rosyjski, kasując np. tak charakterystyczne dla starosłowiańskiej mowy samogłoski nosowe. Teraz gdy nie potrzebujemy się obawiać, by słowiańskość stała się kryptonimem rusyfikacji, gdy w Krakowie powołał Instytut Słowiański, rywalizujący co do swego znaczenia z analogicznym Instytutem w Pradze, konieczność studjów slawistycznych stała się naglącą. To też i nauczanie języka starosłowiańskiego — już czystego od domieszek wschodnich—zaczęła się rozpowszechniać, tak że dziś każdy polonista na uniwersytecie musi się z jego gramatyką zaznajomić. Do niedawna studenci-slawiści polscy musieli opierać się na podręcznikach cudzoziemskich; Vondraka, Leskiena, Pastrneka i Kulbakina. Od lat kilku mamy polskie podręczniki gramatyki starosłowiańskiej, jeden obszerny Łosia, drugi zaś zwięzły T. Lehra-Spławińskiego. Szczególnie podręcznik Lehra-Spławińskiego wielkie ma powodzenie, skoro w ciągu czterech lat doczekał się właśnie niedawno drugiego wydania (nakład „Książnicy-Atlasu 1931). Jak Łoś tak i Spławiński transkrybuje teksty zarówno cyryliczne jak i głagoliczne na alfabet łaciński według przyjętego powszechnie przez językoznawców międzynarodowego (czy raczej międzyjęzycznego) klucza fonetycznego i na obranie tejże metody wpłynął nietylko brak czcionek (wszak „jery" są zachowane), ile wzgląd na studentów, którzy radziby kurs przejść jaknajprostszym i najprętszym sposobem W całym wykładzie — zarówno w dziedzinie fonetyki jak i morfologja — prof. Lehr odwołuje się raz po razu do porównania języka starocerkiewnego z hipotetycznym prasłowiańskim oraz pra-aryjskim, opierając się nu materjale porównawczym. W rozdziele wstępnym przedstawione zostało pochodzenie języka starocerkiewnego i jego znaczenia dla filologji słowiańskiej. Całość zaleca się wielką przejrzystością układu i przystępnością.

(J. B.

*

W serji „Pod znakiem poetów" (wyd. J Mortkiewicza) ukazał się „Ostatni zbiór poezji Antoniego Langego obejmujący dwie części. Pierwsza z nich mieści cykl „Rozmyślania" (którego znaczna część wyszła jeszcze w r. 1906) oraz „Wiersze różne" datujące się z różnych okresów życia poety, niektóre z nich bardzo wczesne, np. wiersz do Deotyny, pochodzący z r. 1897 niektóre zaś („z nowej serji") powstały ostatniemi czasy i są jakby uzupełnieniem wydanego przed paroma laty zbiorku p. t. „Trzeci dzień" — nutą ich bowiem zasadniczą jest refleksja, płynąca z faktu zmartwychwsta-Polski. O sprawy współczesne potrąca Lange i w wierszu „Pożegnanie rymu", gdzie staje w obronie tej formy wierszowej, którą dziś zwolna wypierają asonanse, nie mniej sam poeta posłużył się — dla kontrastu — asonansem w drugiej części wierszy p. t. „Romantyczność", gdzie również opowiada się po stronie rzeczy dawnych. Polską poezją romantyczną—zwłaszcza Mickiewiczem—przesiąkło wiele utworów tego zbiorku; niekiedy dziwnie dziś uderza zbyt częste posługiwanie się rekwizytami słownictwa romantycznego—z harfą na czele. Z przywiązania do poezji romantycznej wyrósł utwór sceniczny Langego o Malczewskim zamieszczony w drugim tomiku „Ostatniego zbioru". Utwór to zbudowany zgrabnie na tle prawdziwych — i legendarnych przeżyć autora „Marji" (np. powtórzoną została legenda o znajomości osobistej Malczewskiego z Byronem) wiersz płynny, w tonie romantycznym utrzymany — nasuwa się porównanie z „Farysem" Miłaszewskiego, jednakże utwór Langego jest o 10 lat wcześniejszy (przeleżał się w cenzurze niemieckiej podczas wojny). Kilka erotyków, odszukanych w rękopisie przez wydawcę całości, A. Toma, zapewne dawnej jest daty, choć formę mają o wiebardziej wyrobioną, a treść żywszą od tych które Lange zamieścił w 1890 i 1892 w pierwszych zbiorach swych utworówi W „Rozmyślaniach dominująca jest nuta śmierci i życia zagrobowego; znać w niej pewne wpływy indyjskie, z którem, Lange spoufalony był przez całe życie. (J. B.)

*

Po cyklu wrażeń marokańskich tunetańskich („Pod zmaganiem Samumu", „Płonąca północ") ogłosił F. A. Ossendowski nową księgę podróżniczą p. t. „Gasnące słońce" (nakł. Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu). Książka ta nas Polaków szczególnie zająć może, gdyż opowiada w niej Ossendowski o Palestynie — nie o tej, która ciągnie się do ul. Dzikiej do Nalewek, ale o tej biblijnej Palestynie, gdzie dziś żydzi są, podobnie jak u nas, w mniejszości... ale rwą się do rządów, jak szara gęś w stodole. Uwagę czytelnika musi niewątpliwie ściągnąć rycina, przedstawiająca Tel-Awiw w r. 1908 (pustynia) i w r. 1926 (miasto wielkości conajmniej Berdyczowa); z niej to wnosić można — ale tylko na oko — o postępach kolonizacji żydowskiej. W rzeczywistości kolonizacja ta ma znaczenie tylko specyficzne — rzec można, markacyjne. Żydzi ani myślą przenosić się do swych gór palestyńskich, bo kajn geszefts, chcą tylko mieć swoje miejsca święte, punkt oparcia swego handlu, a nadewszystko — możność narzucania swoich żądań narodom i państwom europejskim. Te ich wybujałe pretensje słusznie poddaje ostrej krytyce jeden z rozmówców Ossendowskiego, Arab-muzułmanin. Zresztą sam sjonizm ma zawziętych przeciwników w łonie samego żydowstwa: „przeciwko tej ieei spiskują bardzo szerokie warstwy Żydów zmodernizowanych, bundowców, komunistów, internacjonalistów, wolnomyślicieli oraz tych bez ojczyzny, które doskonale się czują na substracie obcych dla nich społeczeństw". Wobec komunistów władze palestyńskie— mówię o Anglikach — stosują środki skuteczniejsze niż u nas: dają komuniście parę plag i wysyłają go tam, skąd przybył... Sprawę żydowską na palestyńskim gruncie poznawał Ossendowski gruntownie, jeżdżąc po wszystkich kolonjach; w ostatecznym wyniku swych obserwacji nie rokuje jej wielkiej przyszłości. — Te żydowskie sprawy stanowią najciekawszy wątek całej książki. Wrażenia pątnicze do miejsc świętych— po tylokrotnych opisach z listami Słowackiego na czele — mniejsze budzą zainteresowanie, jednakże dzięki swadzie autora oraz nowoczesności spojrzenia warte są poznania. Niepotrzebnem wydłużeniem tekstu są liczne wypisy z różnych podręczników, ze szczegółami niekiedy mylnemi (zwłaszcza w dziedzinie starożytności helleńskiej i hellenistycznej). Język wszędzie barwny, a prawie wszędzie poprawny; razi nazwanie „krzyżowców" — „krzyżakami" i zmiana tradycyjnej nazwy Kafarnaum na Kapernaum. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nagrodę „Français d'Asie" przyznano p. Herbertowi Wild. Jest on autorem całego szeregu powieści z których na czoło wybijają się *„L'autre race," „Le Conquérrant," „Le Regard d'Apollon"* a wreszcie ostatnio wydana książka p. t. *„L'Ambassade oubliée".* (Albin Michel édit.) Jej temat? W monasterze, na górze Atos odnaleziono, nieznany historykom manuskrypt na podstawie którego okazuje się, iż za panowania Marka-Aurelego została wysłana Ambasada rzymska do kraju „Séres", a potem do Chin. Biorą w niej udział dwaj młodzi bandlarze rzymscy; towarzyszy im także młoda kobieta oraz pewien filozof, W drodze jednak pozostają zaatakowani przez Hunów. Pozatem jeden z powyższych Rzymian zakochuie się w młodej Chince. Rzymska jego kochanka z ropaczy topi się,a on sam się zabija. Drugi Rzymianin zostaje przez Partów wzięty do niewoli, podczas kiedy filozof sprzeniewierza się bogom Rzymu i żyje według zasad buddyzmu. W książce p. Wilda mamy naturalnie cały szereg perypetji, tej „zapomnianej ambasady" oddanych w sposób żywy, ale równocześnie także autor bardzo ciekawie przeciwstawia cywilizacje rzymską, cywilizacji chińskiej.

*

Z okazji zeszłorocznego obchodu stulecia Algieru, ustanowiona przez tamtejsze Gubernatorstwo nagroda przypadła p. Robertowi Randau za całość jego prac. Z pomiędzy powieści tego autora wymieńmy *„La ville de Cuivre," „L'Homme qui rit jaune"* oraz *„Diko, frère de la Cote".* P. Randau wydaje nową książkie *„Les meneurs d'hommes"* (Albin Michel édit). Bohater jej, Sebastien Lemare, pochodzenia Afrykańskiego przez swą matkę, jest inspektorem prowincji w której dwa plemiona prowadzą pomiędzy sobą zajadłą walkę. Lemare, dzięki swej naturze na pół europejskiej, a na pół afrykańskiej rozumie głębiej i lepiej te plemiona oraz zawiści od innych administratorów. Stara się on też, dzięki swej znajomości ludzi i ich psychologji prowadzić zręczną politykę pacyfikacyjną. Obok niego ewoluje jeszcze cały szereg innych typów, przynależąch do administracji, ale najbardziej interesującą stroną tej powieści, to fakt, że tak znaczną role odgrywają w niej tubylcy ich intrygi i zawiści. Pozatem autor zajmuje się problemami, jakie z powodu tego tarcia różnych plemion, musi rozwiązać, nieraz z wielkiemi trudnościami, rozważna polityka kolonjalna Francji

*

W Scandale (Nouvelle Revue Française), p. Pierre Bost odmalowuje aspiracje i wahania się studentów, a powiedzmy w danym wypadku szczególnie studenta Simona Joyeuse. Studjuje on bowiem medycynę, ale pociąga go przedewszystkiem dziennikarstwo. Nie dlatego jednak, żeby miał doń specjalne zamiłowanie, ale dlatego, iż wydaje mu się, iż ten zawód pozwala w sposób najłatwiejszy, najswobodniejszy pozornie naturalnie tylko „zarabiać na życie" że daje najrozmaitsze ułatwienia uboczne: że prowadzić może daleko, o ile dany osobnik nie posiada zbyt wielkich skrupułów. Simona bowiem charakteryzuje przedewszystkiem przedziwną wprost apatja przed wszelkim wysiłkiem, a postępowanie po linji najsłabszego oporu. Pomiędzy tym synem bez woli, a ojcem twardym pracownikiem, który dobił się stanowiska dzięki żmudnej a wyfrwałej pracy, dojdzie oczywiście zrazu do konfiktu. Ojciec bowiem marzył iż ambicją Simona będzie dostać się na znacznie wyższy, społeczny szczebel. Na szczęście jednak równowaga, wrodzona dobroć ojca wezmą górę i Simon zrozumie jakie walory przedstawiać może rodzina. Pozatem autor w bardzo trafny sposób ujmuje także i odmalowuje tworzenie się przyjaźni studenckich. Przesuwają się też przed oczyma czytelnika obrazy *Quartier latin,* Montmartru i Montparnasu, dalej nawet Berlina. Wprowadza on również trzy zupełne odmiene typy kobiet: prostej Lucienne, ładnej, ale surowej studentki Mariette, pełnej powabu młodej Reine. Poza niem, zaś w charakterystycznych i mocnych posunięciach narysowana jest postać żydówki Elsy Goldberg, istoty i brzydkiej i pociągającej zarazem swoją tajemniczą przewrotnością. Do tych osób dołącza się cały szereg innych, jeżeli mniej ciekawych, to jednak niemniej wytwarzających w książce tej specjalną atmosferę, która niewątpliwie cechuje tę, burzliwą, ale ciekawą pod względem psychologicznym powieść.

*

Na uwagę zasługują wydane przez Pawła Franke'go (Berlin) tomy nowel niemieckich współczesnych pisarzy. (Brod — Döblin — Frank — Eulenberg — Edschmidt i inni). Pierwszy tom *„Ulne deutsche Erzähler"* (str. 380) zawiera nowele kilku czołowych pisarzy niemieckich, więc Döblina, który należy do najwybitniejszych eksperjonistów niemieckich. Jego powieść *„Meese, Berge und Giganten"* jest potężną wizją przyszłości, najnowsza zaś jego wielka powieść: Berlin — Alexanderpl ata — cieszy się ogromną poczytnością. Zamieszczona w tomie *„Ulne deutsche Erzähler"* nowela: *„Der Feldsengmeister rata"* daje próbę wielkiego talentu pisarskiego Döblina. Inną nowelą tego zbioru o wysokiem napięciu dramatycznem jest Broda: August Nachtseiten Allentat, przejmujący i decydujący epizod z życia buchaltera Nachtseitena. Nowela ta daje pojęcie o wysokiej skali powieściopisarskiej Broda, którego wielka powieść *„Tycho Brahes Weg zu Gos"* zakwalifikowała go na pisarza wielkiej miary. Wśród innych nowel wyróżnia się ciekawy szkic z życia ludu Eulenberga: *Marienbier* i Leonharda Franka przejmujące studjum psychologiczne *„Der Abstuk".* (A. J.)

*

Nakładem Th. Knaud (Berlin) ukazała się w taniem wydaniu powieść historyczna Bruno Franka: *„Trenik, der Roman eines Günstkings"* (str. 329). Podobnie jak Brod jest Frank nieromantykiem i przedewszystkiem powieściopisarzem historycznym, który umie nawiązać znacznie odległe czasy i zdarzenia do czasów współczesnych i wyciągnąć z nich odpowiednie wskazania dla doby współczesnej. Frank jest ponadto nieprzeciętnym stylistą znający świetnie wartość dobrych efektów które umiejętnie stopniowane wywołują silne wrażenie. Duża intuicja pozwoliła Frankowi odtworzyć ciekawą postać Fryderyka Wielkiego w oryginalnem oświetleniu, a jego stosunek do awanturniczego oficera Trenika uwypukla niezwykle ciekawie postać tego nieszczególnie sympatycznego króla Prus.

*

Książka Doktora Cabanisa: *„Grands nevropthes Malades"* mimo dużo obiecującego tytułu jest słabą i mało ciekawą kompilacją. Autor rozważył życie i dzieła Pascala, Molière'a, Chateaubrianda, Baudelaire'a, Byrona, Shelley'a i Wagnera z punktu widzenia psychopatologicznego wzgl. niektórych objawów zaburzeń psychicznych czy chorób nerwowych. Opierając się przeważnie na starszych biografiach, nieuwzględniając zupełnie nowych rozpraw i dzieł na temat powyższych pisarzy wyciąga wnioski przynajmniej zawsze przekonywujące — a nieraz wręcz nieprawdopodobne. Wychodząc z słusznego nieraz założenia w ciągu swych dowodzeń posługuje się ryzykownemi dedukcjami Książka nie wnosi wiele nowego do zagadnienia tak ciekawego. Na pewną uwagę zasługuje rozważanie wstępne p. t. *Le genie n'est qu'une nevrose.* (A. J.)

TEATR

„LUDZIE Z HOTELU"

POWIEŚCIOPISARKA niemiecka, pani Vicki Baum, niższa zdaje się rangą od naszej pani Z. Nałkowskiej, przerobiła swoją powieść „Ludzie z hotelu" na widowisko teatralne. Wystawił tę sztukę (3 akty w 16 odsłonach) teatr Polski w doskonałej obsadzie i zgrabnie wyreżyserowaną.

Zdaję sobie z tego sprawę, że mam uprzedzenie do widzeń poetyckich, czy dramatycznych życia wielkomiejskiego. Nie jest to chyba moje wyłączne uprzedzenie. Wszyscy wychowaliśmy się na literaturze, oddanej badaniu człowieka w „plenerze" społecznym, najczęściej wiejskim (lub typu wiejskiego), na tle życia z głębokiemi perspektywami, sięgającemi w przyrodę. Pejzaż duchowy i zewnętrzny śródmieść sprawia nam cierpienie z niedostosowania wzroku, rodzaj migreny. Więc gdy nas pani Baum zaprasza do studjów nad jakąś *Friedriechstrasse*, a specjalnie do *Grandhotelu* z jego pokratkowaniem na klatki, pełne czegoś w rodzaju ludzi, to nam się dusza jeży.

Taki wielki hotel berliński — to osobny świat ze swoistą techniką życia, socjologją, psychologją, bodaj etnografją. Wszystko, co jest w wielkiem mieście przelotnego, co jest aferą, użyciem, blichtrem, „grandą", bezdomnością — wszystko to ma tutaj swoje życie „domowe". Autorkę zajmuje ten kalejdoskop od strony techniki samej, a z drugiej strony jako rozmaitość dramatów ludzkich.

Dramaty hotelowe, numerowane! Patrzy na nie cały dzień służba hotelowa i udaje, że ich nie widzi, a że się niemi nie interesuje, to pewna, nie stać jej na to.

Pani Baum przeciwnie żywo zainteresowała się tą karykaturą życia i nas zmusza do przeżywania tych dramatów. Idziemy z niechęcią.

Wnioskiem ogólnym, jaki z tych przeżyć można wyciągnąć, jest ten, że w tej galerji postacią najbardziej dodatnią moralnie jest złodziej hotelowy. Pochroń, osłonięty tytułem barona. Sceny bywają oczywiście drastyczne, jak to w hotelu, gdy bohaterką jest baletnica, a włamywacz jej ukochanym. Przeciwko temu trudno nam zakładać protest, widać bowiem na rzut oka, że pomysły tych scen z miłością ku Pochronowi autorka brała żywcem z „Dziejów grzechu" Żeromskiego.

Aktorzy teatru Polskiego grali wyśmienicie. Nowością był dla nas talent p. Karbowskiego w roli prowincjonalnego desperata. Pani Kamińska odsłoniła wszystkie tajemnice swoich powabów i była — trzeba przyznać — bardzo interesująca.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Pamiętnik Świętokrzyski 1930. Redaktor Aleksander Patkowski. Kielce 1931. Wydawnictwo wydziału wojewódzkiego w Kielcach i sekcji regjonalistycznej Związku nauczycielstwa pols. z zasiłkiem Funduszu Kultury Nar. Skład główny w księg. Mortkowicza w Warszawie. Str. VII i 440 w dużej czwórce. (Z ilustracjami. Wydania luksusowe).

Pamiętnik Koła Kielczan, 1930/31. Kielce-Warszawa 1931. Nakładem Koła Kielczan. Str. 125. Z ilustr. Wydawnictwo Koła Kielczan 7.V.

Mortkowicz Jacques. Le livre d'art en Pologne, 1900 — 1903. (Tekst i zbiór plansz 40). Folio.

Stendhal. Życie Henryka Brulard. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Warsz. (1931). Bibl. Boya.

Badmajeff Włodz. Tajemnica zdrowia. Skł. gł Gebetner i Wolff. Warszawa. Str. 123.

Machay Ferd. ks. dr. Rozwiązanie sprawy społecznej w ramie akcji katolickiej. Księg. Św. Wojciecha. Poznań (1931). Str. 189.

Bosuet. Wybór pism kaznodziejskich. Przeł. prof. M. Paciorkrewicz. Poznań 1931. Księg. św. Wojciecha. Str. 209

Sistematicznij katałog widań Wsieukrainskoj Akademji Nauk, 1918—1929. (Kijów 1931). Str. 286.

Szymanowski Karol. Wychowawcza rola kultury muzycznej. Warsz. 1931 J. Mortkowicz. Str. 56.

OFENSYWA

ROBAK *CONTRA* KAUFER

INTELIGENTNY a stosunkowo umiarkowany fejletonista krakowskiego syonistyczno-szowinistycznego „Naszego Dziennika" (umiejętnie redagowanego przez rabina dr. Thona, a w warszawskiej prasie niestety mało czytanego), fejletonista tedy i polemista dr. M. Kaufer przekomarzając się ze mną od czasu do czasu w sposób całkiem europejski i za wzór służyć mogący chuliganom z takiej „Gazety Polskiej" oraz pyskatym Pyskozubom z prasy prowincjonalnej, wszczął ze mną świeżo dystyngowaną dyskusję *a propos* pewnej konjunkturalnej „*Weltberumtheit*" i sezonowej wielkości to jest niejakiego Emila Ludwiga, autora i w Polsce znanego dzięki wydawnictwom odpoczywającego obecnie w kryminale ruchliwego nakładcy „Renaissansu" zwykłego sobie piraty księgarskiego, wabiącego się Franck — L. Erdtracht.

Tym Ludwigiem zajmowałem się krytycznie w „Myśli Narodowej" wielokrotnie nie z tej racji, żebym niedoceniał niepospolitych walorów pisarskich dzielnego i pracowitego „essayisty" (ulubiony *genre* słaboimaginacyjnych Semitów), ale z tej przyczyny, że rozdrażniał mnie bezecnie wrzaskliwy, jerychoński, prowokacyjny, międzynarodowy reklamowy harmider, jaki koło tej wielkości wydętej jak balon Piccarda wyczyniały mechesy, marany, meteki we wszystkich językach świata. Gruboskórnością, obskórną nadto ze strony tego niemieckiego bankierskiego dziecka wydała mi się jego książka o Chrystusie. Cynizmem faryzejskim książka zbogaconego sybaryty (mieszkającego sobie w luxusowym cottagu nad Lago Maggiore) o „Abrahamie Licolnie". Pospolitym zaś łajdactwem Ludwiga fejleton panegiryczny o Mussolinim, spowodowany wyłącznie tem, że bankrutujący moralnie i materjalnie *Il Duce* demonstracyjnie dla naciągania Wall-Streetu proteguje „*ebreacciów*" wzamian przez nich adorowany (metresa-biografka Sarfatti, ideolog Arjas, działacze: Finzi, Turatti, Olivetti, przekupny dramatury Sem Benelli i t. p.) Definitywnie nabrałem do Emila Ludwiga odrazy odkąd rok temu w Paryżu po obrzędzie w Sorbonie zaczął w literackich kołach francuzkich przygodnie agitować przeciw Polsce i bronił rewanżowych idei niemieckich, aby w ten sposób znów się wkupić w stracone (po książce o Wilhelmie) fawory burżuazji berlińskiej. I o tem bowiem wiemy panie Kafer!

Kulturalny polemista „Nowego Dziennika", stając w obronie Ludwiga w masce bezparcjalności, miał pecha w tem, że się akurat o... jeden czy dwa dni... spóźnił z pewnemi i w stronę Ludwiga zresztą czysto szowinistyczno-sjonistycznemi zarzutami.

Ustęp inkryminowany brzmi:

„Przyznaję się całkiem otwarcie, że nieżywię specjalnego nabożeństwa dla p. Emila Ludwiga. Niedawno czytałom autobiografję Emila Lugwiga „Geschenke des Lebens". Na przeszło 900 stronicach tego olbrzymiego tomiska nie znajdziecie ani śladu walki duchowej, ani próby poważnego ustosunkowawania się do odwiecznych problemów człowieka... Do tej książki, która jest jednakowoż niezwykle interesującym dokumentem naszych czasów, wrócimy niebawem obszernie, a teraz chciałbym tylko zwrócić uwagę na jeden rys charakteru p. Ludwiga. O żydostwie niema prawie wzmianki w tej książce. Raz tylko, gdy opowiada nam o przejściu na protestantyzm swego wuja wielkiego przemysłowca niemieckiego Friedländera przyjmuje ten fakt jako rzecz samo przez się zrozumiałą. A więc i z tej strony my Żydzi nie mamy żadnego powodu do wynoszenia pod niebiosa Emila Ludwiga".

I oto właśnie, kiedy p. dr. Kaufer kładł taki nacisk na nieżydowskość „Plutarcha naszych (oj naszych) czasów", Emil Ludwig ogłaszał równocześnie w „*Iszaelitiches Wochenblatt*" w „*American Hebrew*" list otwarty przedrukowany rapid przez całą pansemicką prasę światową obwieszczający swój powrót uroczysty na łono Abrahamów, Mojżeszów i potentatów giełdowych globu.

Dosłowny tekst tego orędzia brzmiał panie Kaufer następująco:

„...*dieser Name Kohn ist vornehm und ehrwürdig und niemand, der diesen Namen trägt, hat Grund sich*

seiner zu schämen. Leider habe ich ihn in meinem Kindesalter verloren, da mein Vater sich entschlossen hatte, seine Kinder taufen zu lassen. Mein Vater glaubte, durch meine Taufe in meinem Interesse zu handeln und gab mir deshalb den Namen Emil Ludwig. Vor dem Kriege hat mich die Religionsfrage nicht interessiert. Die Zeiten sind vorbei. Die deutsche Revolution hat mich umgekrempelt, obzwar mir persönlich nichts Übles widerfahren ist. Mit Entrüstung und Beängstigung habe ich das Anwachsen der deutschen antisemitischen Bewegung verfolgt. Als man aber Rathenau ermordet hatte, weil er Jude war, hat mich das mit so elementarer Kraft gepackt, dass ich mich entschlossen habe, wieder zum Judentum zurückzukehren. So habe ich mich entschlossen, wieder den Namen Kohn zu tragen. Man wird mich von nun an nicht mehr Emil Ludwig, sondern Kohn wie bei meiner Geburt nennen".

W streszczeniu krótkiem a węzłowatem: „*ich heisse Kohn und ich bin dumm davon*..." jestem dumny z tego, jak mówił... pewien Lodzermensch... To papa winien, że mnie wycofał z kohn-nicy... Ale od kiedy „niemieccy antysemici zabili Rathenaua"..., od kiedy przekonałem się, że tylko żydowscy nakładcy mają *bares geld*..., od kiedy skontrolowałem, że tylko wszyscy żydowscy reporterzy na obu półkulach reklamują mnie tak, jak należy..., od kiedy widzę, że 90% świata czytelniczego tworzą żydzi..., od kiedy stało mi się całkiem jasnem, że wszystkie stolice państw, Genewa, Liga i t. p. są bastjonami imperjalizmu pansemickiego..., od tego momentu wracam „*zum Judenthum*" i nazywam się Kohn. Tak też postąpili Einstein, Freud, Bergsohn i tylu innych i dobrze na tem wyszli. I ja na tem dobrze wyjdę. *Mein Name ist Kohn und ich bin dumm davon*...

Trafnie a nie trefnie tedy kierował instykt rasowy i p. dr. M. Kaufera z Krakowa, kiedy stanął w bezparcjalnej rzekomo obronie E. Ludwiga, nie przeczuwając jeszcze, że „Ludwig" już z powrotem z ordynarnej aryjskiej piechoty z powrotem przeniół do wytwornej, nobliwej *(vornehm)* Kohn-nicy.

Tu nawiasowo jeszcze jedna korrektura. Nie Niels Hansen w swojej książce: „*Der Fall Ludwig*" udowadnia przygoduy plagjatyzm „Plutarchowi naszych czasów" ale inni.

Natomiast sprawa ważniejsza wyłoniła sie z naszego wspólnego „*Fall Ludwig*".

Otóż w spokojnej i uczciwej polemice ze mną (mogącej za wzór służyć rastakuerom i cambrioleurom ze Sanacji, z którymi al pari trzebaby polemizować tylko widłami lub szpicrutą) pan dr. Kaufer pisze tak:

> Jednym z tricków pisarskich p. Adolfa Nowaczyńskiego jest udawana wiara w egzystencję jakiegoś anonimowego ciała żydowskiego, narzucającego światu wciąż nowe wielkości. Trick jest zanadto przejrzysty, by naprawdę przyjąć można dobrą wiarę p. Nowaczyńskiego, który napewno w w i e l k i m b y ł b y k ł o p o c i e, gdyby musiał przykładami konkretnemi t. j. faktami wykazać działalność tego Sanhedrynu, ferującego wyroki o wielkości ludzi. Wprost wierzyć się nie chce, by człowiek mądry i życiowo doświadczony, a w dodatku tak przy wszystkich swych uprzedzeniach doskonale się orjentujący pisarz naprawdę był przekonany o tej wszechpotędze reklamy żydowskiej, która potrafi wymusić na biednych Aryjczykach uznanie dla swych benjaminków.

Otóż nie. Ja nie jestem w żadnym kłopocie. Wyciągam sobie spokojnie z magazynu wycinek z „Naszego Przeglądu" z *anno dazumal* p. t.: „Wpływ żydowski na myśl nowoczesną" i z pomocą nożyczek obalam w mig dr. Kaufera... *Trick* pisarski.

Oto w Cambridge, ale tem drugiem (Massachusets. U. S. A.) w sąsiedztwie słynnego uniwersytetu Havarda, mieszka sobie taki młody uczony żydowski, wygłaszający dla studentów z College wolne prelekcje z psychologji, filozofji literatury i t. p.

Nazywa się dr. A. A. Robak.

Jego produktywność jest zdumiewająca. Oto tytuły niektórych jego dzieł: „Psychologja charakteru", „Problemy indywidualności", Bibljografja charakteru i indywidualności", „Psychologja popularna", „Przeszkody impulsów wolowych" etc.

Ostatnio napisał i wydał książkę p. t.: *Jewisch Influence Modern Thonglit* t. j. wpływ żydowski na myśl nowoczesną.

„Nasz Przegląd" (za pismem „*Litterarische Bleter*") podaje dokładnie treść tej fanatycznej i nieco megalomańskiej apologji (pióra p. A. Almi) i w pewnym ustępie czytamy co następuje dosłownie:

> Istotnie autor otwiera przed nami cudowną panoramę umysłowości żydowskiej, żydowskiego intelektualnego państwa światowego. O d k r y w a o n c i e n k i e n i c i, k t ó r e w i ą ż ą ż y d a z ż y d e m w n i e r o z e r w a l n y s o j u s z. Związani są ze sobą organicznie nawet żyd francuziały i spolszczony, zgermanizowany i zanglizowany choć zewnętrznie są rozdarci — a to zapomocą swych naczyń krwionośnych zapomocą specyficznej psychologji, zapomocą światopoglądu żydowskiego, który jest zgoła inny niż światopogląd jakiejkolwiek innej nacji. W obliczu takiego przekonania, ciągnie się pasmo — powiedzmy od Bal Szem Towa, założyciela chasydyzmu do d-ra Freuda. Freud bowiem, zdaniem Robaka, także jest chasydem pod względem swego podejścia do duszy ludzkiej. Jeżeli doprowadzimy tezę Robaka do ostatecznego skutku, to potrafimy znaleźć związek między gaonem wileńskim a Karolem Marksem, między Trockim a Chofec-Chaimem, podobnie jak autor wykazuje nam związek pomiędzy genjalnym matematykiem Einsteinem a katolicko - mistycznym Bergsonem oraz psychoanalitykiem Freudem.

„Z tymi ś m i a ł y m i wywodami", dodaje p. A. Almi, „muszą się zgodzić lub nie".

My się zgadzamy. O niczem więcej i dalej i ja nie myślałem. To jest właśnie ten *Sanhedryn*, ferujący wyroki o wielkości" i narzucający je światu „Cienkie nici, które wiążą żyda z żydem w nierozerwalny sojusz". Od chasydyzmu do Freudyzmu. To jest ta nić niewidzialna oplątująca cały glob. Od Wassermanów do Wasserzugów i Wasserbergów. Nierozerwalny sojusz". Od Cohna do Cohna. Cohn-federacja. *Ergo*?:

„Wprost wierzyć się nie chce, by człowiek mądry i doświadczony, a w dodatku tak przy wszystkich swych uprzedzeniach doskonale się orjentujący..." jak p. dr. Kaufer z „Naszego Dziennika" w Krakowie nie widział i nie wierzył w egzystencję... Anonymowego...

Może go jednak do reszty przekona dr. Robak?...

Chyba...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Na uroczystości odsłonięcia pomnika Wilsona w Poznaniu min. Zaleski w przemówieniu swojem powiedział te słowa:

„We wzniosłej uroczystości dzisiejszej łączy się cały naród polski, wspominając z wdzięcznością szlachetne hasła, głoszone przez Prezydenta Wilsona, hasła z j e d n o c z e n i a P o l s k i w jedną w i e l k ą c a ł o ś ć i daną jej możność swobodnego rozwoju i dostępu poprzez morza do wielkich demokracyj świata"...

Słowa te żywo przypominały — swoją antytezą — to, co w czasie wojny głosił p. Zaleski. Pełnomocnik rosyjski w Londynie Nabokow telegrafował do min. Tereszczenki w d. 17 (30) października 1917 r.:

„W tych dniach zwróciła się do mnie (grupa polityków), za pośrednictwem Zaleskiego, aby d o r ę c z y ć p a n u p r o t e s t przeciw działalności grupy Dmowskiego. Wysuwane jest oskarżenie, że dąży ona z pomocą Anglji, Francji i Ameryki do stworzenia tak silnego państwa Polskiego, które zastąpićby mogło w przyszłości Rosję, jako mocarstwo zachodnio-europejskie"...

Zestawienie tych dwu dokumentów świadczy, jak wielkie są możliwości ewolucyjne w poglądach... na dostęp do morza i zjednoczenie kraju, a zarazem o tem, jak zgrabnie bywał odrzucany zarzut moskalofilstwa na Dmowskiego.

Dmowskiego na tej uroczystości nie było.

*

Znowu na Warszawę spadł samolot wojskowy. Rozleciał się na wysokości 800 m. na kawałki. Piloci spadli na spadochronach na dachy i potłukli się. „Gazeta Polska", organ urzędowy (nr. 183) podaje trzy wyjaśnienia przyczyny katastrofy:

1) „Przyczyną wypadku było przypadkowe otwarcie się spadochronu, który wyciągnął obserwatora z kabiny, ten zaś spadając zaczepił o ster poziomy, obrywając kawałek steru". Reszta — konsekwencje.

2) „Lotnicy spostrzegli, że motor zaczyna źle działać. Widząc nieuniknioną katastrofę i grożącą im śmierć, momentalnie wyskoczyli z aparatu. W tym samym niemal momencie nastąpiła eksplozja w silniku i spadający samolot w powietrzu rozerwał się na części".

3) „Przyczyną katastrofy było zetknięcie się dwu samolotów w powietrzu".

Czytelnicy mogą sobie wybrać czwartą wersję dowolną tak, jak się wybiera czwartego z trzech kandydatów na komisarza wyborów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.